Dziś w numerze: Drab i cnotliwa Genowefa ● Jaką ongiś byłam ● Piekące skarpetki ● Moja przygoda w Dniach Oświaty, Książki i Prasy ● W rzymskiej szkole filmowej ● Recenzje ● Felietony ● Polonica

odgłosy

HONOROWA ODZNAKA M. ŁODZI

Nr 18 (380)
8. V. 1966 r.
10 stron
Cena 1 zł.

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK IX

JANUSZ TERMER

W kolejce po książkę

Słyszy się często różne utyskiwania na zatrważający rzekomo stan czytelnictwa: a to, że telewizja i inne zmechanizowane środki masowej komunikacji wypierają książkę, że jeśli nawet ludzie czytają, to tylko beletrystykę nie najlepszego gatunku (rozrywka, sensacja, melodramatyczny romans...), że sama literatura rezygnuje ze swych funkcji poznawczych, przechodząc na pozycje czysto formalno-estetyczne, że...

Można by mnożyć w nieskończoność te zarzuty, tylko czy warto? Znacznie sensowniejszym zajęciem wydaje się próba spojrzenia na aktualną sytuację czytelniczą w Polsce, co pozwoli być może na bardziej realistyczną ocenę obecnej roli i miejsca czytelnictwa w kształtowaniu się u nas kultury masowej.

Ale przedtem trzeba trochę uwagi poświęcić obiektywnym warunkom kształtującym prawidłowy rozwój czytelnictwa. Bez dania odpowiedzi na pytanie jakie są potencjalne możliwości korzystania z książek, jaki jest stan nasycenia rynku książką poszukiwaną, jakie są w ogóle potrzeby czytelnicze i w jaki sposób się je zaspokaja (i na ile), nie sposób w ogóle mówić — sensownie — o tamtych problemach.

...SPOD LADY

Sytuacja staje się powoli paradoksalna. Demokratyczny system oświaty jak i inne przemiany społeczne, rozbudziły w „narodzie" potrzeby tak wielkie, że już w tej chwili sprostać im nie potrafimy. Dzisiaj nakład 20-, 30- a nawet 50-tysięczny dla poszukiwanej powieści, wcale nie jest za duży i u nikogo nie wywołuje zdziwienia (nie wspominamy tu o wydawnictwach typu encyklopedycznego, gdzie kilkakrotnie większe nakłady również okazują się za małe). O skali i rozmiarach problemu niech zaświadczą chociażby wypowiedzi grupy naszych wybitnych intelektualistów („Polityka" nr 6 z br.) — profesorów, pisarzy, krytyków. Ich konkretne propozycje wydawnicze są różne — to zrozumiałe, bo wynikają z odmienności zainteresowań i uprawianych dyscyplin naukowych („bliższa koszula ciału..."). Lecz wniosek jest wspólny, identyczny, nakłady niektórych książek są za małe w stosunku do potrzeb. „Nieszczęściem jest wydawanie książek w tak małych nakładach, że pożądane książki kupuje się nielegalnie (te o etyce i moralności też)" (Marcin Kacprzak). „Trzeba dojść do stanu, w którym o nakładzie i o wznowieniach, poza, oczywiście, literaturą sensacyjną, rozstrzyga, jak prawie wszędzie na świecie, realne zapotrzebowanie na książkę" (Jan Kott). „Nie powinna trwać taka sytuacja, iż niemal żadnej dobrej książki, wydanej nieco dawniej, nie można już kupić" (Bogdan Suchodolski). „Sądzę, że każde z nich (wydawnictw — J. T.) prowadzi politykę celową i trafną, ale nie dość konsekwentną, nie licząca się z chłonnością rynku księgarskiego" (Adam Tarn). „Zauważyłem, że pewne książki eseistyczne na tematy literackie rozchodzą się zbyt szybko i nie są potem wznawiane. Widocznie mają za niskie nakłady" (Adam Ważyk).

Najlepszym wyjściem z trudnej sytuacji na rynku księgarsko-wydawniczym — wniosek to rażąco oczywisty — byłoby wydawanie dobrych książek w odpowiednio wysokich nakładach, ustalanych na podstawie społecznego zapotrzebowania, aby książka nie robiła konkurencji niektórym towarom sprzedawanym spod lady. Niestety, sprawa jest mocno skomplikowana. Ta niezwykła w naszych dziejach chłonność rynku czytelniczego, jest wynikiem zbyt wielu pozytywnych przemian w strukturze społecznej (jak chociażby ilościowe rozszerzenie kręgu inteligencji, potencjalnych odbiorców dóbr kultury), aby nadążyły za nimi nasze skromne możliwości techniczno-wydawnicze. Fakt to znamienny dla krajów, które z wielowiekowego zaniedbania muszą szybko wkroczyć do czołówki światowej. Cieszy to i martwi zarazem. Ale czy postęp w dziedzinie czytelnictwa jest możliwy tylko poprzez szybszy rozwój materialny bazy wydawniczej?

Pewnie, że jest za mało papieru na cele wydawnicze (temat ciągłych narzekań wydawnictw) a baza poligraficzna jest przestarzała i niewystarczająco rozbudowana, co niezmiernie wydłuża cykl produkcyjny książki, że zaszły pewne zmiany w polityce wydawniczej, jak ograniczenie ilości tłumaczeń z niektó-

Dalszy ciąg na str. 6

„Studencka rodzina"

Fot. Marcin Menzel

KRZYSZTOF POGORZELEC

TV: W DUBLECIE i KOLOROWO

— Będzie, czy nie będzie? Prawie hamletowskie pytanie. A więc — będzie.

Jest to odpowiedź dla ponad dwumilionowej rzeszy posiadaczy odbiorników telewizyjnych w naszym kraju, którzy z niecierpliwością czekają na „uruchomienie" drugiego programu polskiej TV.

Prawdopodobnie zobaczymy go na małym ekranie gdzieś około roku 1967 — o ile zostaną usunięte w porę wszystkie przeszkody, co tu dużo mówić — dosyć poważnej natury.

Rozmawiałem o nich z mgr inż. Jerzym Rutkowskim dyrektorem Biura Koordynacji Łączności Radiowej. Powiedział: — To nie taka prosta sprawa. W grę wchodzi nie tylko nasza własna baza, ale także międzynarodowe porozumienia oraz stopień wykorzystania „eteru" przez stacje polskiej TV oraz naszych bliskich sąsiadów...

Drugi program polskiej TV ma być nadawany w tzw. czwartym paśmie, a więc na falach decymetrowych. W tym układzie nasze aparaty telewizyjne posiadające 12 kanałów niestety będą musiały być przebudowane i dostosowane do odbioru tej nowej emisji polskiej TV. Chodzi po prostu o to — mówiąc z dużym uproszczeniem — że II program TV nie „zmieściłby" się w używanej obecnie siatce kanałów, która zresztą jest już do szczętu wykorzystana, a nawet bywa już tak, że na jednym kanale emitują swój program różne stacje. Tak ma się np. w przypadku Katowic, Białegostoku oraz Koszalina, które odbierają program TV na kanale ósmym, a znowu kanał 12 naszych aparatów telewizyjnych używany jest przez stacje Szczecina, Wrocławia oraz Rzeszowa.

Stąd trzeba było sięgnąć do innego rozwiązania. Nasze odbiorniki telewizyjne będą musiały być wyposażone w dodatkowe specjalne urządzenie konwerterowe, niestety dosyć drogie (cena od 700 do 900 zł), a co gorsza do tej pory nie produkowane jeszcze przez krajowy przemysł elektroniczny, który dopiero teraz przygotowuje się do podjęcia produkcji tych dosyć skomplikowanych urządzeń. Będą one mogły być montowane w pobliżu gniazdka antenowego obecnie używanych aparatów TV i w ten sposób dostosują odbiorniki do wymagań emisji dwóch programów telewizyjnych.

Czekamy więc tylko na odpowiednie kroki, na ostateczne decyzje i konkretne posunięcia ze strony krajowego przemysłu. Czekamy niecierpliwie, bo TV jest magią pociągającą miliony.

Podbojowi kosmosu towarzyszą wysiłki nad przesyłaniem obrazu przy pomocy urządzeń telewizyjnych z układów pozaziemskich. W ramach programu „Apollo" prowadzonego przez USA zbudowano prototyp kamery telewizyjnej wypróbowanej już w pojazdach kosmicznych bez załogi. Jest to kamera dająca obraz czarno-biały. W pojazdach kosmicznych Związku Radzieckiego kamera TV zamontowaną na statku ważyła zaledwie 33 dkg a jej rozmiary nie przekraczały wymiarów kartonu papierosów. Naukowcy twierdzą, że w ciągu 3 lat zostanie zbudowane urządzenie kamerowe i aparatura towarzysząca, która umożliwi przeprowadzenie barwnej transmisji TV z Księżyca.

TV. Dwie magiczne litery, które jak magnes przyciągają wielomilionowe rzesze spragnionych informacji i rozrywki ludzi. Domowe kino, które w Japonii stało się już telewizyjnym wydaniem codziennej gazety informującej przy pomocy wścibskiego oka filmowej kamery wspartej magnetofonem i dźwiękoczułą taśmą o wszystkim co wydarzyło się na świecie, w kraju czy też na Twoim podwórku.

Ostatnie lata to lata wielkiej, oszałamiającej kariery TV. W roku 1960 statystyki odnotowały, że w Stanach Zjednoczonych było 55 mln. abonentów TV, w Anglii blisko 12 mln., w Związku Radzieckim około 8 mln. W roku 1965 w Polsce zanotowaliśmy dwumilionowy aparat telewizyjny i w światowych zestawieniach zajmowaliśmy pod tym względem 12 miejsce.

Hossa dla szklanego ekranu trwa nadal, niemal we wszystkich krajach, gdzie istnieje system ratalnej sprzedaży, w tego typu zakupach jedno z czołowych miejsc zajmują aparaty telewizyjne.

Bo: TV zbliży do Ciebie świat. Za jej pośrednictwem stajesz się uczestnikiem wszystkich najważniejszych wydarzeń od Antarktydy, gdzie z lodową pustynią zmaga się wyprawa naukowców, po świetny spektakl operowy we włoskiej La Scali. W dodatku — jesteś uczestnikiem tych wydarzeń siedząc w wygodnym fotelu i w miękkich pantoflach. Nowoczesność i konsumpcja równa się WSPÓŁCZESNOŚĆ.

Stop, nie przesadzajmy! Są przecież jeszcze na „naszym" świecie kraje, w których telewizja odgry-

Dalszy ciąg na str. 5

ZE ŚWIATA

Przed tygodniem obiecałem powrócić do nieomówionych wówczas najważniejszych wydarzeń ostatniego okresu. Dotrzymując danego Czytelnikom słowa, chciałbym przede wszystkim skoncentrować się na problemie niemieckim.

W ostatnich dniach rząd PRL, udzielił odpowiedzi na marcową notę rządu Niemieckiej Republiki Federalnej w związku z tzw. „propozycjami pokojowymi" Erharda. Przypominam, że propozycje te przedstawione zostały 115 krajom, ale nawet w gronie najbliższych sojuszników Niemiec Zachodnich nie zyskały jednomyślnej aprobaty, budząc wiele uwag, a nawet kontrowersji.

Co bowiem w istocie rzeczy wyraża w swych propozycjach Bonn? Przekreślenie wyników II wojny światowej, przekreślenie decyzji poczdamskich. Jak stwierdza nota naszego rządu — propozycje te nie dowodzą „w żadnej mierze zmiany dotychczasowej polityki rządu Niemieckiej Republiki Federalnej".

Nota NRF — przypomnijmy to raz jeszcze — podtrzymuje istnienie granic z roku 1937, nie zauważa istnienia Niemieckiej Republiki Demokratycznej oskarża, że Polska opowiada się za utrzymaniem podziału Niemiec, obciąża nas — wbrew wszelkiej logice — za brak postępu w odprężeniu europejskim. Fakty, których nie trzeba Czytelnikom przytaczać, mówią tymczasem coś wręcz odwrotnego. To polityka NRF, opierając się na zasadach odwetu i chęci posiadania we własnej dyspozycji broni nuklearnej, rodzi wszystkie wspomniane trudności. Tak więc do osiągnięcia postępu w sprawach rozbrojenia i bezpieczeństwa europejskiego nieodzowna jest zmiana dotychczasowego kursu politycznego Bonn.

„Wyrzeczenie się roszczeń terytorialnych wobec Polski, uznanie granicy na Odrze i Nysie, uznanie Układu Monachijskiego za nieważny — nie dlatego, że Hitler go przekreślił swoimi wiarołomstwami i zbrodniami, ale dlatego, że był on usankcjonowaniem gwałtu wobec Czechosłowacji i etapem w polityce podbojów, uznanie istnienia Niemieckiej Republiki Demokratycznej jako równoprawnego państwa niemieckiego i partnera do zjednoczenia Niemiec, jasna odpowiedź na pytanie, jakie mają być zjednoczone Niemcy, wyrzeczenie się zbrojeń, a w szczególności opuszczenie ręki wyciągniętej po broń nuklearną, konstruktywne podejście do częściowych nawet i stopniowych rozwiązań, zmierzających do odprężenia w Europie — stwierdza nota Polski — oto prawdziwa i jedyna droga do ugruntowania bezpieczeństwa i pokoju".

Jedyna, ale właśnie bardzo skrupulatnie omijana przez Bonn. Krótko mówiąc — cała odpowiedzialność za istnienie obecnego stanu rzeczy obciąża w całości i bez reszty NRF!

W tej sytuacji złudne i bałamutne są oświadczenia kanclerza Erharda, który na ostatniej konferencji prasowej zapowiadał „podejmowanie jeszcze nowych inicjatyw". Bylibyśmy radzi, gdyby były to inicjatywy, podyktowane realizmem politycznym. Niestety, nic tego nie zapowiada.

Z Bonn przenieśmy się do Włoch, a ściślej Watykanu. Sygnalizowana przez nas wizyta Gromyki u papieża, rzeczywiście doszła do skutku. Ogłoszony komunikat przez TASS podaje, że tematem rozmowy były głównie sprawy pokoju, wspólnych wysiłków w celu zapewnienia bezpieczeństwa narodów, a więc te problemy, które niezależne są od różnic światopoglądowych i religijnych.

Oczywiście, pierwsza w historii Watykanu wizyta tak wysokiego przedstawiciela państwa komunistycznego w stolicy apostolskiej wywołała serię komentarzy. Domysłów, jak zwykle w takich wypadkach wiele, od Wietnamu począwszy, a na dialogu komuniści — katolicy skończywszy. My odnotujmy ją po prostu jako dalszy ciąg dyskusji, podjętej w październiku ub. roku, kiedy to Paweł VI uczestniczył w sesji ONZ i przy tej okazji spotkał się z radzieckim ministrem spraw zagranicznych.

Że spotkanie to nie jest na rękę niektórym wysokim przedstawicielom kościoła — to już inna sprawa. My powtórzmy za min. Gromyko, który na konferencji prasowej stwierdził:

„Wychodzimy z założenia, że w walce o rozładowanie napięcia międzynarodowego i o pokój ludzie powinni się łączyć i działać w jednym kierunku, bez względu na światopogląd i przekonania religijne".

W ub. tygodniu, wędrując po różnych stolicach, opuściliśmy Waszyngton. A tymczasem toczy się tam wcale interesująca dyskusja na tematy wietnamskie.

Nie starczyłoby miejsca na omówienie szczegółów tej znamiennej wymiany zdań, pozwólcie więc Czytelnicy, że zwrócę uwagę tylko na najnowszą wypowiedź senatora Fulbrighta — przewodniczącego senackiej komisji spraw zagranicznych.

Krytykując administrację za jej dotychczasową politykę wietnamską — Fulbright wyliczył następujące ujemne skutki kontynuowania działań wojennych: wrogość wobec Stanów Zjednoczonych, utrudnienie dialogu ze Związkiem Radzieckim oraz zniszczenie perspektyw na porozumienie ze Wschodem od handlu poczynając, a na kontroli zbrojeń i przyszłości Niemiec skończywszy.

Wykazał on ponadto, że wojna wietnamska ma „najbardziej fatalny wpływ" na społeczeństwo amerykańskie. Udowodnił niemożliwość jednoczesnego realizowania hasła Johnsona: „armaty i masło". Kongres — stwierdził senator — stracił w br. zainteresowanie dla „wielkiej społeczności" i stał się z politycznego i psychologicznego punktu widzenia „kongresem wojennym".

Głos — przyznacie zapewne — bardzo charakterystyczny. Nie mówilibyśmy o nim, gdyby był odosobniony. Ale głosów takich w USA coraz więcej! Szkoda tylko, że administracja nie wyciąga z nich — póki czas — właściwych wniosków.

Skoro już mowa o Wietnamie — pozwólcie za Reuterem — podać, że dezercja z armii południowowietnamskiej w ub. roku wzrosła do 113 tys. żołnierzy i że w związku z tym dowództwo uznało za słuszne przypomnieć o istnieniu za to kary śmierci. I pomyśleć, że Stany Zjednoczone uzasadniają swoją obecność w południowym Wietnamie „wolą Wietnamczyków"!

W. SŁAWSKI

KRONIKA TYGODNIA

■ Nad Wietnamską Republiką Demokratyczną doszło na przestrzeni ostatniego tygodnia do szeregu starć nowoczesnych wietnamskich samolotów myśliwskich z samolotami amerykańskimi. Komentatorzy polityczni uważają, iż oznacza to, że konflikt w Południowo-Wschodniej Azji, przy obecnej polityce Stanów Zjednoczonych zmierzającej do dalszego rozszerzania działań wojennych, może niebawem wejść w nową, bardziej niebezpieczną fazę, w której Południowo-Wschodnia Azja zostałaby przekształcona w pole doświadczalne dla trzeciej wojny światowej.

■ **W Senegalu, gdzie odbywa się I Światowy Festiwal Sztuki Murzyńskiej, gości m. in. znany poeta radziecki J. Jewtuszenko. W korespondencji z Dakaru „New York Times" pisze o wielkiej popularności, jaką cieszy się poeta. W kilka godzin po otwarciu kasy, w której sprzedawano bilety na jego recital, mający się odbyć za tydzień w olbrzymim teatrze Sorano, nie można już było zdobyć miejsca. W ubiegłym miesiącu Jewtuszenko bawił w Australii — gdzie, pisze dziennik — gromadził większe chyba tłumy niż beatlesi. New York Times podaje także wypowiedź poety, którą również brytyjski Observer zamieścił w rubryce powiedzeń tygodnia: „Jestem patriotą jeśli chodzi o radzieckie wina, radzieckie kobiety i radzieckie pieśni, ale nie jestem patriotą jeśli chodzi o radzieckie papierosy". Mamy dobry tytoń — dodał Jewtuszenko, ale nie potrafimy produkować tak dobrych papierosów jak Amerykanie.**

■ Szerokim echem w świecie odbiła się rzymska wizyta radzieckiego ministra spraw zagranicznych A. Gromyki i jego spotkanie z papieżem Pawłem VI. Włoski dziennik „Il Tempo" stwierdza, iż spotkanie A. Gromyki z papieżem jest wydarzeniem niezwykłej wagi, którego konsekwencje trudno jest obecnie przewidzieć. Prasa austriacka podkreśla, iż rozmowa ministra spraw zagranicznych ZSRR z Pawłem VI wykroczyła poza ramy prywatnej audiencji. Radio czechosłowackie uważa, że „chodzi w rzeczywistości o dialog między chrystianizmem a komunizmem.

■ **We Włoszech powstała liga na rzecz wprowadzenia rozwodów. Kierownictwo ligi stanowią znane osobistości świata laickiego. Do tymczasowej siedziby organizacji wpłynęło w ciągu kilku dni wiele setek zgłoszeń, co wskazuje, że w krótkim czasie liga przekształci się w rzeczywiście masową organizację. Jak wiadomo, Włochy są jednym z nielicznych krajów w Europie, gdzie nie ma prawnie usankcjonowanych rozwodów. Przed kilkoma miesiącami poseł socjalistyczny Fortuna złożył w parlamencie odpowiedni projekt ustawy. Z uwagi jednak na silną opozycję kół klerykalnych walka o przyjęcie projektu zapowiada się długa i trudna. Liga zamierza wszcząć kampanię na rzecz wniosku posła Fortuny, przy czym najsilniejszym momentem tej kampanii mają stać się wybory powszechne w 1968 roku.**

■ Agencja Sinhua donosi, iż członek Biura Politycznego KC KPChin, wicepremier i minister spraw zagranicznych, Czen I napisał wiersz na cześć dyplomaty chińskiego, który został ciężko ranny w Djakarcie podczas napaści tłumu na ambasadę ChRL. Czen I odwiedził chorego w szpitalu pekińskim i odczytał mu swój utwór: „Wszyscy odważnie staliście wobec kul i nie ustępowaliście. Reakcjoniści zbiegli zmieszani, z trzęsącymi się nogami" — brzmi jedna ze strof.

Gaullistowska koncepcja Europy w karykaturze „Die Welt"

■ **Dyrektor Amerykańskiego Instytutu Badania Opinii Publicznej George Gallup stwierdził, że jak wynika z przeprowadzonej przez jego Instytut ankiety, 56 proc. biorących udział w ankiecie Amerykanów wypowiedziało się za przyjęciem Chin do ONZ. Odpowiedzi pozytywnej udzieliły przede wszystkim osoby z wyższym wykształceniem oraz młodzież. W okresie od 1958 roku głosy wypowiadające się za przyjęciem ChRL nigdy nie przekraczały 17 proc.**

■ Korespondenci amerykańscy w Sajgonie zwracają uwagę na proces nasilania się działań partyzanckich w samej stolicy Wietnamu Południowego. Obraz Sajgonu — pisze AP jest ponury i przypomina bardzo sytuację w czasie wojny w Algierii. Za barykadami worków z piaskiem, otaczającymi amerykańskie kwatery stoją żołnierze z bronią gotową do strzału. Sajgon nie osiągnął jeszcze etapu totalnej wojny rewolucyjnej, ale kiedy go osiągnie nie sposób będzie przewidzieć jej wyniku.

■ **Sekretarz Zarządu Związku Pisarzy RFSRR Michał Aleksiejew w wystąpieniu na plenarnym posiedzeniu zarządu zaliczył znany utwór Aleksandra Sołżenicyna „Jeden dzień Iwana Denisowicza" do grupy tych, w których temat kultu jednostki „traktowany był nie zawsze z pozycji partyjnej obiektywności i prawdy historycznej". Najpoważniejszym brakiem utworu — zdaniem mówcy — było to, iż „w ujęciu tego niezwykle drażliwego tematu autor nie potrafił wznieść się ponad tragedię osobistą".**

■ W wywiadzie dla dziennika „Komsomolskaja Prawda" znany ekonomista radziecki, prof. J. Liberman raz jeszcze nawiązał do dyskutowanego w swoim czasie w Związku Radzieckim problemu scentralizowanego planowania. Zdaniem profesora scentralizowane planowanie winno skupić swe wysiłki na naukowym uzasadnianiu tempa i proporcji rozwoju gospodarczego, na optymalnych proporcjach między spożyciem a akumulacją. Ta ostatnia sprawa jest szczególnie ważna — powiedział Liberman — nie powinniśmy składać w ofierze interesów żyjącego pokolenia w imię interesów przyszłych pokoleń.

■ **W Anglii sprzedano sześć obrazów namalowanych przez Winstona Churchilla za łączną sumę 41.380 dolarów. Jeden z obrazów uzyskał bardzo wysoką cenę 22.400 dolarów.**

■ W artykule omawiającym rolę amerykańskiej Centralnej Agencji Wywiadowczej (CIA) dziennik New Jork Times dochodzi do wniosku, że reputacja CIA w świecie jest tak horrendalna, a rola jaka odgrywa w przebiegu wydarzeń tak ogromna, że agencja ta zaczyna być obciążeniem dla amerykańskiej polityki zagranicznej.

> *Największym świętokradztwem wobec marksizmu - leninizmu jest zastój w myśleniu.*
>
> FIDEL CASTRO

■ **Nowa pływająca „piracka" stacja radiowa zbudowana przez businessmenów angielskich i amerykańskich rozpoczęła nadawanie programów muzycznych i reklam w końcu ubiegłego miesiąca. Stacja ta, jedna z sześciu tego typu, działa na eksterytorialnych wodach w rejonie wschodniego wybrzeża brytyjskiego.**

■ Jak wynika z wypowiedzi rumuńskiego ministra handlu zagranicznego między Rumunią a niektórymi krajami zachodnimi istnieją zaawansowane plany kooperacji przemysłowej. Minister uznał również za możliwe tworzenie na terenie kraju filii firm zachodnioniemieckich w ramach układu o współpracy.

■ **Wybitny artysta malarz Pablo Picasso przyjął przyznany mu przez rząd radziecki w ubiegłym roku złoty medal oraz dyplom Leninowskiej Nagrody Pokoju. Uroczystość wręczenia nagrody odbyła się w prywatnej rezydencji Picassa w Mougins.**

■ Znany chiński uczony prof. Kuo Mo-żo, wiceprzewodniczący Stałego Komitetu Zgromadzenia Przedstawicieli Ludowych oświadczył, że jego dzieła poetyckie, historyczne i literackie powinny ulec zniszczeniu. Jeden z dzienników pekińskich podaje, iż wystąpienie profesora spowodowane zostało krytyką wiceministra kultury i sztuki, w następstwie czego Kuo Mo-żo zwrócił się, aby tysiące znaków które napisał zostały „przekształcone w popiół". Chiński uczony przypisał swe błędy niedostatecznemu zrozumieniu dzieł Mao Tse-tunga i walki klasowej.

— Gdyby jutro były wybory, na którego z generałów byś głosował?

(„Observer")

Z KULTURĄ POD RĘKĘ

Tak więc, staropolskim zwyczajem nadeszły doroczne Dni Oświaty, Książki i Prasy. To jest już coś w rodzaju narodowej instytucji, którą otwiera się uroczyście specjalną akademią z solennymi przemówieniami, wykwintnym i reprezentatywnym ciałem prezydialnym itede, itepe. Spadnie też pewnie deszczyk orderów, premii i wyróżnień.

Akademia ku czci — akademią, warto jednak zwrócić uwagę na charakterystyczne cechy tych właśnie Dni w Łodzi. Powiązanie z Milenium nie jest czymś, co akurat wyróżnia Łódź, tak dzieje się w całym kraju. Chociaż, czy ja wiem? A może? Łódź wystawiła 1 Maja i 3, w rocznicę majowej Konstytucji widowisko historyczne przed nieczynnym jeszcze teatrem na placu Dąbrowskiego. Autorzy scenariusza widowiska — Władysław Orłowski, Tadeusz Szewera i Marek Wawrzkiewicz, a także i reżyser — Roman Sykała pokazali, że i w krótkim czasie można przygotować interesujące widowisko. Publiczność waliła wszystkimi ulicami, przez płoty, a czyny naszych przodków, które można było oglądać, na scenie pod gołym niebem, tak dalece rozpaliły widzów, że trzeba było pomocy milicji, aby choć trochę ostudzić nasze narodowe temperamenty. Miejmy nadzieję, że część tej publiczności będzie zaglądać do Teatru również i po jego otwarciu. I to nie w ramach czynów społecznych, ale z miłości do teatru muzyki poważnej.

Myślę, że inną, ogromnie istotną cechą tegorocznych Dni Oświaty, Książki i Prasy w Łodzi, będzie inwazja poezji. Jak już wiadomo, staraniem Prezydium Rady Narodowej naszego miasta i łódzkiego oddziału Związku Literatów Polskich, odbędzie się w maju festiwal poezji. Poetów u nas, chwalić boga, nie brak, jeżeli się dobrze orientuję już kilkuset spośród nich nadesłało swoje utwory. Przy okazji rozdania nagród będziemy mogli usłyszeć referaty znanych w kraju krytyków na temat dorobku i sytuacji w naszej poezji, usłyszymy także referat na temat rozwoju poezji w Łodzi. Jeżeli więc zawodowi malkontenci chętnie widzieli w Łodzi olbrzymią, prowincjonalną wiochę, to będą chyba zmuszeni do zmiany tematu marudzenia. Krok po kroku, wraz z naturalnym rozwojem naszych środowisk twórczych, Łódź odzyskuje rangę miasta nie tylko współtworzącego, ale i organizującego życie literackie w kraju i nie tylko literackie.

A propos wiocha. Byłem niedawno w Ręcznie, które leży w piotrkowskim powiecie. Dojazd można śmiało powiedzieć — fatalny, ale ludzie? Zbudowali własnym nakładem duży, imponujący, jak na wieś — Dom Kultury, z kinem, kawiarnią, salą odczytową, zbudowali sobie nawet szpital. Porządna droga dojazdowa w robocie.

Byłem także w Białej za Wieluniem, w Klubie Rolnika, który prowadzi miejscowy GS. Pion spółdzielni wiejskich, a wiec te właśnie GS, PZGS i nasz wojewódzki WZGS to są instytucje do spraw zaopatrzenia i zbytu. Nawozy, maszyny rolnicze, jaja, gwoździe, papa, stanowią przedmiot zainteresowania tej instytucji. No, ale prezes z Białej wygłosił znakomite przemówienie na temat upowszechnienia kultury, mówił jak mecenas kultury, jeszcze jeden dobry mecenas.

Pamiętam Ręczno sprzed kilku lat, Białą także pamiętam, ale kiedy byłem i tu i tam po raz pierwszy, nie widziałem na oczy podczas wieczoru autorskiego prezesa GS, nie było Wiejskiego Domu Kultury, a miejscowe chłopaki nie brały urlopu z wojska po to, żeby organizować konkursy czytelnicze, raczej tylko śpiewacze, pod knajpą tegoż GS.

Wydaje mi się, że ten wzrost ambicji kulturalnych, tak bardzo widoczny w naszym województwie stanowi także charakterystyczną cechę ale już nie tylko tegorocznych Dni Oświaty, Książki i Prasy, lecz całego naszego życia ostatnich lat.

Wiesław Jarosiński

WACŁAW BILIŃSKI

DRAB i cnotliwa GENOWEFA

Warszawa skręca za groblą między nowo wzniesione i bliźniaczo do siebie podobne domki Raciszyna. Potem droga z miejskimi, schludnymi, brukowanymi chodnikami przechodzi stopniowo w zwykłą wiejską murowankę — i oto jedziemy typową ulicówką. To kolonie Lisowice.

Zabudowa rozluźnia się, zaczynają się i wyboje. „Któredy na Węże?" Dalej, wypadnie nam zboczyć z drogi na ścieżkę między sosnowe zagajniki i niskie, zapadłe wśród wzgórz kamieniste dolinki. Znów sosnowy zagajnik i skałki, na których w sabat mogłyby czarownice odprawiać swe weselisko. Tu ścieżka rozjeżdżona przez traktory rozwidla się i znów trzeba zaciągnąć języka: „Gdzie mieszka dziadek Drab?" Jeszcze trochę, Warszawo, bylebyś tylko nie zaryła dyferencjałem w tę kamienistą, zrytą przez traktory dróżkę. A skąd tu traktory? Zamiast odpowiedzi słyszymy, że jeszcze tylko minąć ryngowiec. Co to jest ryngowiec? No — przecie że piec na wapno. W miasteczku już tej nazwy nie używają. Tu — o kilka ledwie kilometrów — tradycja wczepiła się w łyse, nieurodzajne zagony i nie ustępuje. Więc i język jest inny: czyż to nie jeden z fenomenów naszej współczesności?

Mijamy ów ryngowiec: zarytv w kamieniste wzgórze, kopci brunatnym, gęstym dymem. Potem dróżka opada między zielone zagony, wśród sadów widać niską strzechę: to samotniak dziadka Draba. Wysiadam z samochodu, idę ku bielonej chacie, o framugach malowniczo wyciągniętych sinką. Przystaję u furtki i przekrzykując rozeźlonego Burka — pytam gdzie szukać dziadka.

Oto i on sam, przeszło osiemdziesięcioletni, maleńki, zasuszony. Gdzie jeszcze w naszym zirytowanym, cywilizowanym świecie, wyjdzie wam ktoś nieznajomy naprzeciwko — z takim uśmiechem? Może właśnie ta zaskakująca wesołość sprawia, że od razu narzuca mi się porównanie: dziadek Drab wygląda na krasnoludka. Na pogodnego, życzliwego ludziom (życzliwego nawet takim intruzom-mieszczuchom, jak my) — ale uważnie strzegącego tych gombłych wzgórz, krasnoludka. Gnoma. Zaraz, zaraz, a może dziadek Drab jest w istocie takim Krasnalem-gmerkiem?

Osiemdziesiąt przeszło lat! Rok urodzenia — gdzieś aż w epoce zwanej „Piękna". Gdzieś ją tak nazwano, lecz nie na tych przecież nieszczęsnych ziemiach! Jak wówczas wyglądał ten kraj? Czegóż nie przeżył przez owe nielitościwe dziesięciolecie? Jakie były losy Działoszyna? Miał więc dziadek Drab i młodość trudną, i niełatwe lata młodzieńcze, i niezbyt wesoły wiek męski. Ale uwaga! sfrustrowana i zalienowana epoko: spójrz na dziadka Draba. Ma za sobą osiem dziesiątkę — a jeszcze kipi w nim radość życia. Bowiem dziadek jest dzieckiem natury. Całe życie spędził tu, w Wężach, w tej chacie, i całe życie łupał kamień zalegający wszystkie okoliczne wzgórza. Jego zasuszona, mała twarzyczka pod wielkim wąsem i krzaczastymi brwiami, raz po raz układa się w sto wesołych, ruchliwych zmarszczek. I dziadek — z byle powodu — chichocze. Lubi się śmiać. Z uciechy aż zanosi się śmiechem. Kto wie? Może ta niepohamowana, żywiołowa skłonność do śmiechu — to i zarazem tajemnica dziadkowej niespożytej młodości. Może to i ów, tak poszukiwany przez mędrców eliksir młodości?

Dziadek Drab na naszą prośbę podejmuje swój zwykły obowiązek przewodnika. Ubrany w welwetowy surdut, ze świeczką w garści, śmiało pakuje się do naszej Warszawy, i swym skrzeczącym, wesołym głosem, wyjaśnia nam powód tak wyjątkowo dobrego humoru. Oto właśnie dziś przyznano dziadkowi stałą pensję — 300 złotych miesięcznie — za nadzorowanie jaskini w Wężach. — Już dwadzieścia lat pilnuję — i nic. A teraz, proszę, pensja, cieszy się dziadek. I zaraz chytrze konkluduje. — Ale to pewnie przez tych Francuzów, co tu byli. Pokazałem im jaskinię, mówili ze mną na migi, a potem postawili przed jaskinią, ręce kazali trzymać jak w wojsku, „po szwam" coś pogadali, i fotografowali ze wszystkich stron. Pewnie to przez te ich fotografie przyznali mi ci z Warszawy taką wysoką pensję.

Warszawa z trudem wspina się usypiskiem na grzbiet wzgórza zarośniętego krzakami jałowca. Tu wysiadamy. Pierwsze wrażenie: jesteśmy na terenie zdewastowanym rabunkową gospodarką. Wszędzie wokół wadoły po kamieniołomach, wszędzie usypiska i wykroty.

Powinni zakazać tu łupać kamień — mówi dziadek prowadząc nas wąską i krętą ścieżką.

Kilkadziesiąt metrów dalej krajobraz przeistacza się, otwiera i wyzwala. Stoimy teraz na grzbiecie najwyższego wzgórza, u którego stóp Warta płynie szeroką, wolną doliną. Jej rubieże zielone, szmaragdowe, szaroniebieskie i najdalsze, zasnute mgłą i dymami pieców, wyznaczają horyzont, za którym już tylko dymiące kominy cementowni.

Za parę lat ktoś z osobistości wpływowych odkryje ten pejzaż; może wtedy powstanie tu schronisko, motel, może sanatorium, lub dom wypoczynkowy. W województwie łódzkim nie ma bowiem drugiej miejscowości o takich walorach widokowych. Za parę lat wkroczy tu cywilizacja. A na razie gospodarka rabunkowa, prowadzona z jedną tylko myślą: by wyprzedzić zakazy, by wyrwać jak najwięcej, nim ktoś przerwie tę grabież — i wszędzie wokół wykopy, szpecące krajobraz jakoby nietykalnego Rezerwatu Węże. Kto za ten wandalizm odpowiada?

A dziadek zapatrzył się w meandry Warty i powtarza raz po raz, że pięknie tu. Jego wykrzykniki brzmią pytająco. Pięknie, zgadzamy się. O tak! mówi dziadek z dumą i przekonaniem. Wszyscy, którzy tu po raz pierwszy stają, wołają, że to piękne miejsce. Bardzo piękne!

W oczach starego człowieka widzę wierny, urzeczony, bezgraniczny zachwyt. Bardzo tu pięknie! powtarza dziadek Drab. Wydaje mi się, iż w tym dniu (może i nie bez współudziału 300 złotówek NBP) jakoś intensywniej niż zwykle cieszy się życiem i jego urokami.

Ale nie tylko wyjątkowe walory widokowe tego miejsca nas tu dziś przywiodły. Idziemy — mówi dziadek — i już schodzimy wąską, oślizłą ścieżką między stłoczone ostre skałki. Ten osiemdziesięciolatek skacze po skałkach jak kozica, wyprzedził nas, już jest przy żelaznej kutej bramie, już ją otwiera i szamocząc się z zardzewiałą kłódką, opowiada nam, jak to przed trzydziestu laty, łamiąc właśnie w tym miejscu kamień dla huty szkła w Piotrkowie — (całe życie przecież właśnie tu, na tych pagórkach łamał kamień. Z tego i żył od lat pięćdziesięciu) — wyrąbawszy tęgi kęs szklistego kamienia, odkrył szczelinę opadającą stromo w dół, między skałki niknącą w samym sercu góry. Więc polazł w tę szczelinę, trochę ze strachem, i nie za przygodą, a za groszem, bo tam, w tej grocie, zrazu płytkiej jeszcze, narastał na ścianach ów „szklisty kamień" za który „szklana" huta nieźle płaciła. Rwał dziadek ten kamień, sprzedawał go, rad był, że odkrył bogatą żyłę, no i schodził coraz niżej i niżej po drabince, tej samej, co stoi jeszcze i teraz, coraz głębiej w groźną ciemność, ledwie rozświetloną migotliwym płomykiem świecy. Strach, który wziął dziadka, gdy nagle grota się pod nim rozwarła, wkrótce minął.

Czegom się miał bać? To były swoje góry, swoje kamienie. Niczegom się tam nie bał, kiedym był młody — mówi dziadek otwierając skrzypiącą furtę. Zręcznie, jak dwudziestolatek, złazi po stromej i niewygodnej drabinie w mroczną otchłań. Chodźta za mną — dudni w skalnej szczelinie jego głos — tylko pilnujta głowy, bo tu nisko. Pilnujemy więc głów i ostrożnie, a niezręcznie — wiadomo mieszczuchy — złazimy na dno pierwszej jaskini. Dalej trzeba przecisnąć się na czworakach przez wąskie, ciasne skalne gardło. Gdzieś przede mną migoce świeczka. To dziadek dotarł już do następnej, większej pieczary. Tedy, tedy — panie — skrzeczy jego głos. — Uważajcie tylko, bo ślisko. Za mymi plecami jakiś głuchy odgłos. Cholera — klnie kierowca. — Co za diabli przesmyk, palnąłem głową w obwis. Po stalagmitach pełza światło dziadkowego ogarka. Ki czort, nietoperze — mówi z obrzydzeniem kierowca. Chodźta, chodźta — woła dziadek. Nabieram tchu w piersi i przeciskam się między ostrymi krawędziami skałek — no i jestem wreszcie wraz z dziadkiem Drabem w drugiej, większej jaskini.

Ściany groty połyskują w tym mdłym świetle, jakby zdobiły je drogie kamienie. Dziadek sapie jak miech kowalski. Musiałem rzucić palenie — powiada — ciężko mi już było tu włazić. Ale jakem rzucił, to teraz mogę i parę razy dziennie...

Odblaski światła łamią się na jego drobnej, jakby wyrzeźbionej z drzewa twarzy, dumnej i zadowolonej. Jestem już zupełnie pewny, że dziadek jest ucywilizowanym, poddającym się naporowi naszego czasu krasnalem-gmerkiem, stróżem tych gór. — Dalej pewnie nie zechcecie iść, tam trudniej — mówi z nieco uszczypliwą intonacją głosu. Uniósłszy wysoko w górę świecę, pokazuje nam cały majestat podziemnej komory. Strzeże jej na swój sposób. Pokazuje to i tylko to, co jest przeznaczone dla oczu profana. My, profani, wdzięczni jesteśmy i za to. Jak to wpisała w roku 1949 do pamiątkowej księgi pani dr Malicka? „Serdecznie dziękujemy za zabezpieczenie groty w Wężach, która stanowi wartość naukową i zabytkową. Prosimy o dalszą opiekę i bliższy kontakt z Muzeum Ziemi i z Państwowym Instytutem Geologicznym".

Spójrzcie, panie — mówi konfidencjonalnie dziadek Drab. — Widzita ją? W głębi groty, wśród stalagmitów uformowana z nich jakby kamienna postać kobiety z dzieckiem na ręku. Widzita? — pyta dziadek. — Jak żywa? Prawda.

— To Genowefa?

Dziadek Drab nie odpowiada. Wydaje mi się, że widzę przez sekundę w jego oczach dziwny, drwiący błysk. Napatrzyliśta się? — pyta głośno, aż huczy w jaskini. — No to wracamy. Tylko baczta na głowy.

Nim znów dam nura w tę wąską skalną gardziel, jeszcze raz odwracam się i spoglądam na dziwną kamienną postać, która ukazuje mi się po raz ostatni i zaraz niknie zazdrośnie przysłonięta wielkim cieniem, jaki na ściany groty rzuca dziadek-krasnal.

Przyszedłem tutaj właśnie po to, by skonfrontować legendę z tym mrocznym, ledwie już teraz dostrzegalnym kształtem. Tak więc wygląda Genowefa, o której wiele słyszałem. Przyszedłem tu po tropach jej legendy. Ta legenda to swego rodzaju fenomen obyczajowy. Czas więc opowiedzieć o niej:

Po raz pierwszy o Genowefie usłyszałem od pielęgniarek w działoszyńskim Ośrodku Zdrowia. I było to powiedziane z przekąsem: „Te działoszyniaki! Ani to się nie garnie do kina, ani do teatru. A jak czytają, to tylko tę Genowefę". Jaką Genowefę? Ano jest tu w miasteczku taka książka, stara i wyczytana, aż brak jej kart. I nie wiadomo kto jest autorem. Ale chyba każdy w miasteczku ją czytał, bo też i akcja powieści tu właśnie się toczy, na tej ziemi, w jaskiniach, w Wężach. Słyszał pan o tych jaskiniach? Widać, autor żył właśnie w tych stronach, znał je dobrze. I może właśnie do napisania powieści ta kamienna postać w jaskini go natchnęła..."

Taki był pierwszy ślad „Genowefy", na jaki trafiłem. Potem nie raz jeszcze w rozmowach z działoszyniakami wraca owa „Genowefa". Coraz wyraźniej dostrzegałem niemal kult tej książki. To powieść historyczna. Może Kraszewskiego? Nie, na pewno nie. Może Jeża? Też nie. To powieść „tutejsza". Nagle dowiaduję się, że Działoszyn ma „swą własną literaturę".

Więc własna literacka tradycja. Co za paradoks. Pamiętajmy, że dziś książek sprzeda się tu właśnie śmiesznie mało. Na półkach obu klubo-kawiarni czeka na czytelnika wiele tytułów „a idzie za dwieście, trzysta złotych miesięcznie". To również tradycja, bo już przed laty, nieodżałowany pan kierownik szkoły Krupa mówił, że „Działoszyniacy nie bardzo garną się do czytania". — I oto nagle książka, którą znają wszyscy. Albo, formułując ściślej, książka, którą znają wszystkie niemal kobiety w Działoszynie. A więc książka-fenomen. A może książka-symptom?

Jak odszukałem tę książkę, to już inna sprawa. Posłużyłem się znanymi dziennikarzom metodami — i były to metody skuteczne, bowiem „Genowefa" leży przede mną: jedyny chyba, ostatni już egzemplarz, nad którym od paru dziesiątków lat popłakują panienki działoszyńskie. Egzemplarz diablo sfatygowany, bez okładki, bez karty tytułowej, bez stronic ostatnich, karty numerowane od 21 do 90. Czcionka, jak sądzę, wskazuje na druk w latach międzywojennych. Książka wyczytana, postrzępiona, ale z troską oklejona białym kartonikiem, na którym ktoś wypisał jedno tylko słowo „Genowefa".

Przerzucam więc do cna wyczytane karty, oddaję się rozkoszom tej lektury. Zaczynam ją od rozdziału szóstego pt. „Cudem uratowana".

„Na środku lochu więziennego klęczała Genowefa, trzymając na ręku dziecko. Kat zbliżył się do klęczącej mówiąc: — Wstań, hrabino, weź swoje dziecię i chodź z nami. Słysząc to Genowefa załkała rozpaczliwie i głosem rozdzierającym zawołała. — Wiatr co tak smutnie jęczy po lesie wyszumi wam smutną pieśń morderstwa, gdziekolwiek się odwrócicie, wszystko odbije się w waszym sumieniu echem dokonanego występku. Słysząc to pachołkowie, zdjęci trwogą, postanowili darować życie hrabinie, i odprowadzili Genowefę w głąb kniei, za góry i bagna, i tu omdlałą zostawili".

Czytamy dalej —

— Rozdział 7 — (uwaga: czytelnicy działoszyńscy tu właśnie odnaleźli swój znajomy krajobraz).

„Genowefa długo błąkała się po puszczy, aż wreszcie udało jej się znaleźć małą i zaciszną dolinę między skałami, a w jednej ze skał jaskinię, mogącą pomieścić troje osób. Kiedy Genowefa weszła do jaskini, poczuła się lepiej i bezpieczniej niż na deszczu i wietrze".

Tytuły następnych rozdziałów mówią za siebie. „Opatrzność wyszła Genowefie na ratunek w postaci łani". „Ciężka choroba Genowefy". „Rozpacz hrabiego Zygfryda po wydaniu wyroku na żonę". „Zygfryd odnajduje Genowefę". Czytajmy, czytajmy:

„Wyszli wreszcie z jaskini, hrabia zatrąbił głośno, jego ludzie zbiegli się ze wszystkich stron w dolinę. Wtedy do zgromadzonych odezwał się hrabia:

Szlachetni rycerze i wy wierni słudzy! — oto jest mój syn jedyny imieniem Bolesta i żona moja ukochana, sławna hrabina Genowefa..."

Więc happy end: zakończmy na tym lekturę i pomyślmy, skąd ta książka jest nam znana? Bo przecież budzi ona w nas jakieś wspomnienia, jakieś skojarzenia. Czy to bajka, czy legenda? Wezwijmy na pomoc znawców. A może Słownik Folkloru Polskiego wszystko nam wyjaśni?

Fot. M. Menzel

Istotnie, pod hasłem GENOWEFA — czytamy, że jest to „popularna powieść ludowa. Opiera się ona na jednym z paru motywów o prześladowanej niewinnie kobiecie, księżniczce brabanckiej Genowefie z dodatkiem szczegółów takich, iż niemowlę zagubionej w lasach kobiety karmiła mlekiem sarna itd. Tekst zdobył sobie w Polsce niebywałą popularność, oparte bowiem na nim przekłady polskie drukowali wszyscy niemal wydawcy książek dla ludu. Estreicher w bibliografii polskiej XIX stulecia wymienia ok. 30 wydań".

A więc jesteśmy w domu: Genowefa, ostatni mohikanin odpustowych i jarmarcznych powiastek dla ludu. Przetrwała właśnie tu, w tym nadwarciańskim ustroniu, mimo iż wtargnął i tu wiek XX z ciężkim przemysłem, z radykalną przebudową socjalną, z (nie nadążającą) kulturą masową. Przetrwała! i wyciska pannom sklepowym łzy z oczu, mimo iż na półkach bibliotecznych taka konkurencja! Co więcej: ów czytelnik naszych już czasów powiastkę tę zespolił z okolicami swego miasteczka: czyż to nie rodzaj adopcji? Przeżytek, dziwoląg, fenomen? Nie bądźmy niesprawiedliwi, nie bądźmy srodzy: ta książeczka budzi sympatię, wzrusza, jest reliktem, zabytkiem. Iluż pokoleniom służyła! I nie traktujmy jej z lekceważeniem: 30 wydań! Przecież ze szczerego serca takiego właśnie sukcesu życzymy naszym ulubionym współczesnym polskim pisarzom.

Jaka ONGIŚ BYŁAM...

Mieszkańcy miasta dzielili się na „stałych", należących do gminy i w jej księgach zapisanych; na „niestałych", a więc mieszkających i pracujących w Łodzi, lecz zapisanych w księgach stałej ludności gmin, z których do Łodzi przybyli, i do których administracyjnie mogli być w każdej chwili odesłani, oraz „niemeldowanych", których obliczano na 10 proc. ludności ujętej spisem policyjnym. W roku 1885 obliczano, że w Łodzi zamieszkuje ponad 140 tys. ludzi, w czym pochodzenia polskiego 58 tysięcy, niemieckiego 40 tys., żydowskiego 30 tys. oraz innych narodowości 2.000.

Najruchliwsza w życiu towarzyskim była grupa niemiecka. A. Kalinowskij do najpoważniejszych organizacji zaliczał „Schutzverein" (Tow. Strzeleckie), podzielone na kompanie, umundurowane, posiadające broń, sztandar i komendę niemiecką, następnie straż ogniową, wojskowo zdyscyplinowaną; potem parę stowarzyszeń „rycerskich", uprawiających sztukę władania szablą; sportowych, gimnastycznych, łyżwiarskich. Istniały jeszcze inne stowarzyszenia, jak kręglowe, szachowe, b. studentów różnych niemieckich uniwersytetów oraz mnóstwo muzycznych i śpiewaczych. „Te ostatnie są mieszane, żeńskie, męskie i ich ilość dochodziła do 50. Każde towarzystwo miało swoją ustawę, znaki i, w większości, własny lokal.

Sergiusz Szarapow nie dziwi się temu rozkwitowi życia towarzyskiego, bo, jak powiada, „wobec powstań 1830 i 1863 roku, rząd rosyjski zapatrywał się na Łódź jako na tamę, zamieszkałą przez uczciwych i spokojnych pracowników, którzy mogą i będą prowadzić za sobą masę głów niespokojnych, hamując ich porywy". I rzeczywiście, łódzka ludność zagraniczna w zupełności usprawiedliwiała te nadzieje.

Uprzejmość władz rosyjskich szła wobec tych przybyszów tak daleko, że władze administracji politycznej prowadziły z przemysłowcami korespondencję urzędową w języku niemieckim.

Polacy nie mieli rozbudowanego życia społecznego, nie uzyskiwali nań zezwolenia władz. Tylko przy dwóch kościołach katolickich istniały chóry polskie.

Do ruchliwych stowarzyszeń niemieckich, Żydzi dostępu nie mieli. Polacy zaś o tyle, o ile dostosowywali się językowo i zwyczajowo do ustalonych w tych stowarzyszeniach form współżycia.

Inteligencja polska i żydowska ciążyła więc ku sobie i na niej to opierało się polskie życie kulturalne.

Wł. Bezobrazow zauważył, że jedyne budowle, nie mające związku z produkcją, to świątynie wszystkich wyznań religijnych, no, i oddany w roku 1885 do użytku, gmach nowego więzienia, wybudowany przy zbiegu ulic Długiej i Konstantynowskiej [1]). Jak powiada „Dziennik Łódzki" — „wygody więzienia podobały się widocznie rzezimieszkom, kradzieże bowiem i rozboje zwiększyły się w sposób niepokojący".

Poza tym były dwie sale teatralne, polska i niemiecka oraz sala koncertowa.

Tenże „Dziennik" notuje: — „Teatr w Łodzi, to jedyna godziwa rozrywka, jedyny punkt oparcia dla wytchnienia spracowanego umysłu. Nie mamy bowiem ani muzeum, ani galerii obrazów, ani resurs, ani klubów — pozostaje tylko jeden teatr, który wszelkie braki ma zastąpić. Gmach teatralny służy za punkt zborny, w którym można spotkać znajome osoby, w którym następować może wymiana myśli. Jest także, a przynajmniej być winien, szkołą języka...".

Jak wyglądał ten teatr?

„Do budynku (mieszczącego się w podwórzu hotelowym) dostać się można zajechawszy przed hotel nie oświetlony latarniami. Wysiada się pośród koni i kół i po wypukłym bruku, poprzez kamienie i chwiejny mały mostek, idzie się, albo raczej brnie. Potem przez pospolitą bramę i jeszcze pospolitsze podwórze, pośród hałasu służby hotelowej i swędu restauracyjnego, studni, komórek, stajni, wozowni, drzewa, węgla, beczek itp., prawda, że po waskim pasku asfaltowym, ale tak po ciemku, iż rozpoznać się niepodobna. Mijając kałuże cuchnących i nieprzyzwoitych budek ustępowych, dochodzimy do budynku".

Wchodzimy do przedsionka. Na lewo i na prawo schody do lóż, amfiteatru i galerii, szerokie zaledwie na dwie lub trzy osoby, tak, że w razie pożaru, górni widzowie uciekając, na tych schodach zbiegliby się w masę. Z westybulu prowadzi do krzeseł dwoje drzwi, ale jedne są czynne. Skrzypienie tych drzwi przeszkadza aktorom i słuchaczom, ale jeszcze bardziej przeszkadza im głośne tłoczenie się przez bariery, przypominające przegrody gospodarcze na wsiach, tłoczenie się widzów stojących, przypominających publiczność przed figurami woskowymi na rynku, i stuk obcasów po podłodze bez chodników, przypominający robotników fabrycznych, w drewnianych sandałach spieszących do fabryk.

Co do lóż — piętrowe pobudowane są na 6—8 osób. Loże estetycznością i spokojem się nie odznaczają. Co do foyer i bufetu — miejsca tu na kilkanaście osób i to już tłok, wśród gorąca od piecyka i samowara, wśród pośpiechu zgłodniałych i spragnionych oraz palaczy, których dym przedziera się przez korytarze lożowe do lóż i teatru.

Co do sceny — płytka i mała ona nad wszelkie wyrachowanie; nic też na niej optycznie i perspektywicznie zrobić nie można. Aktorzy kręcą się i drepcą, udając, że chodzą i biegają, rekwizytów nie ma gdzie postawić. Kulisy wąskie i krótkie. Garderoby przystawkowe za sceną nisko, tam zaś ciasno, zimno, duszno; jedni potrącają drugich, przeszkadzają sobie wzajemnie i przewłóczą antrakty, podczas których maszynista i rekwizytor z niewygodnych poruszeń aż się pocą, wobec daremnych wołań reżysera o pośpiech. Gdyby przynajmniej w kulisach i na scenie ciepło było dostatecznie dla dekoltowanych po balowemu lub po sielankowemu artystek — gdzie tam! zimno wieje jeszcze spod sceny. W tym zimnie muzycy rozweselają publiczność w antraktach rzewnymi walczykami i innymi „kawałkami" do słuchu".

W ciężkich warunkach pracujące grupy teatralne nie zawsze mogły liczyć na dużą frekwencję — stąd ucieczki z miasta. „Dziennik Łódzki" w styczniu 1886 roku pisał: — „W roku ubiegłym uciekł o tej porze teatr niemiecki. Nie przypuszczaliśmy, że taki sam los spotkać może i teatr polski, a jednak przyszło do tej smutnej ostateczności... Czyż to nie wstyd! Gdy Lublin i Kalisz budują nowe teatry i utrzymują przez cały rok, latem i zimą, towarzystwo dramatyczne, Łódź nie może utrzymać teatru polskiego przez kilka miesięcy... Jest on przecież po kościele jedyną instytucją, dającą sposobność słyszenia dźwięków mowy ojczystej...".

W kościele, dźwięki mowy ojczystej uczyły pokory, a słuchały ich szerokie rzesze robotnicze, które do miasta przybywały z całym balastem tradycji życia religijnego wsi. Kler miał duży wpływ w tym środowisku. Temu wpływowi przypisywały władze rosyjskie wystąpienia robotników w obronie wolnych niedziel i dni świątecznych. Władze gubernialne piotrkowskie pisały do gen.-gubernatora warszawskiego feldmarszałka Osipa Hurki, zwracając uwagę na „niepotrzebne mieszanie się księży do spraw ich nie dotyczących". Gubernator Hurko stanowisko to przedstawił arcybiskupowi warszawskiemu, ks. Wincentemu Teofilowi Chościak-Popielowi. Ten odpowiedział:

„Na mnie nie ciąży troska o dobro materialne miejscowego społeczeństwa, jak również wynajdywanie środków dla zabezpieczenia interesów warstwy robotniczej... Dopóki w mieście Łodzi łamanie niedziel i świąt nie było tak zwykłe i ograniczało się do kilku godzin rannych, robotnicy-katolicy, poddając się dodatnim naukom kościoła i duchowieństwa, radzącego im cierpliwość i spokój, nie tak silnie odczuwali przemoc i krzywdy nieraz im wyrządzane; pozbawieni jednak pociechy religijnej, nie będąc w stanie na skutek zajęć przystępować do sakramentów, po całotygodniowej robocie, mając do swego rozporządzenia tylko popołudniową część dnia świątecznego, podczas której odczuwają potrzebę rozrywki, oddają się życiu hulaszczemu i pozostała część dnia świątecznego spędzają w szynkach i piwiarniach, gdzie w stanie nietrzeźwym śmielej rozprawiają o częstych krzywdach, wyrządzanych im przez właścicieli fabryk. W takich warunkach rozdrażnienie umysłów może się powiększyć i wydać najsmutniejsze owoce... Ja stale zwracam uwagę na podległe mi duchowieństwo i przy każdym zdarzającym się wypadku doradzam szczególną taktowność w postępowaniu z robotnikami, a specjalnie zwracam uwagę na to, aby robotnicy pod wpływem rzekomych lub prawdziwych krzywd doznanych od swoich pracodawców, nie zostali popchnięci do zgubnych teorii rozsiewanych przez wrogów publicznego spokoju i kościoła, i dlatego jestem przekonany, że robotnicy-katolicy na skutek wpływu na nich duchowieństwa wyznania rzymsko-katolickiego, mniej są zdolni do przyjęcia wstrętnych, a na nieszczęście, tak często powtarzających się socjalistycznych teorii, które przenikając do nas z zagranicy, starają się zburzyć podstawy dobrze zorganizowanego społeczeństwa".

Kapitaliści twierdzili wówczas, że płaca robocza nie od wysiłku i zdolności robotnika zależną była, a od stopnia potrzeb, do jakich ten człowiek przywykł — „a chłop od gnoju nie winien wiele wymagać dla siebie". Ówczesny inspektor fabryczny w Królestwie Polskim, Świątłowskij, zanotował: „Stopa zarobków obniżając się w miarę wzrostu podaży rąk roboczych, normuje się w ten sposób, iż zarobek zwykłego robotnika zaledwie wystarczy na zaspokojenie najniezbędniejszych potrzeb średniej rodziny. Fabrykanci płacą tak mało, że robotnik polski zmuszony jest odżywiać się źle — pracuje o głodzie..." W przemyśle łódzkim pracowały i dzieci, dopiero ustawa wprowadzona w życie w roku 1886 zabraniała zatrudniać dzieci do lat 10, natomiast powyżej tych lat mogły być zatrudniane i w nocy.

Całotygodniowy wysiłek przy warsztatach powodował, że wolne popołudnia świąt i niedziel spędzano na wolnym powietrzu, na łąkach i w lasach okolicznych. W Zielone Świątki, na Wodnym Rynku, przy fabryce Scheiblera coroczna zabawa, „Fajka" zwana. Zieleń świeża, jasna w słońcu, bawiła oczy; wijące się tłumy, hałas przekupniów, jęki żebraków, tony katarynek, tu butelki piwa, tam antałki, na papierach porozkładana żywność, wiatr rozwiewa zatłuszczone papiery. Przedsiębiorcy wszelakiego rodzaju rozbijają swe namioty, zachęcając uczestników zabawy do huśtawek i chwytają ciekawych na rozmaite sposoby — jest i „król piekieł Pluton" i „pogromczyni dzikich zwierząt", akrobaci, tańcząca na linie itp. Cztery wilki wygłodzone, leniwe, które dawno już pozbyły się wszelkiej dzikości, przeskakujące a raczej przełażące przez drążek, jest nie umyta „miss pogromczyni" i „pan Pluton", dotykający końcem języka rozgrzanego na wolnym ogniu pogrzebacza od węgli, rodzina akrobatów, żona, mąż i troje dzieci, wyginające swe watłe ciałka i wykonujące różne akrobatyczne figury pod takt walczyka, granego na harmonii, gdzie indziej znów skrzypce, trąbka i bęben. „Pan Pluton" zjada także zapalone pakuły, a odwróciwszy się od publiczności, wyjmuje takowe palcami z ust. Małpka skacze pociągana za sznurek owiązany koło jej szyi, a drobne miedziaki raz po raz rzucane bywają do rozłożonej na katarynce czapki. Cyganie kłócą się charakterkotliwie, Cyganki rozłożywszy karty, wróżą dziewczętom — widocznie „wieczorową porą ciemnego blondyna", bo zasłuchana dziewczyna ma wypieki na twarzy, a na oczy ściąga kolorową chustę z głowy. Stojący chłopcy śmieją się rozgłośnie. Nie brak i żebraków, którzy klęknąwszy na podłożonym pod kolana worku, zaciągają nosowo pieśni religijne, czy odmawiają litanię.

Ruch różnobarwnego tłumu, szum mieszanych melodii, krzyki, śmiechy, śpiewy, wrzaski i piski, tłum, tłum, ledwo przecisnąć się można.

„Fajka, fajka!" [2]).

ELA

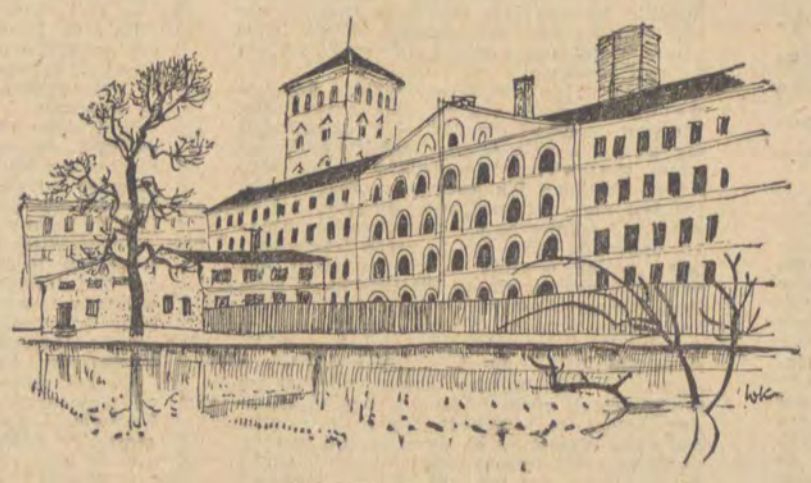

Biała Fabryka Gejera

Rys. W. Kondek

[1]) Ob. ul. Gdańska i Obr. Stalingradu.

[2]) Początkowo plac ogradzano a przed wejściem inkasowano opłatę, pobieraną przez kasjera, tęgiego, krwistego mężczyznę z dużą fajką w zębach. Opłatę nazywano — „na fajkę". W następnych latach ogrodzenie znikło, ale nazwa w tradycji została: „Fajka!"

JULIAN BRYSZ

PIEKĄCE SKARPETKI

Niedawno prasę obiegła wiadomość o zlikwidowaniu gangu „śmieciarzy" w Zakładach Przemysłu Pończoszniczego im. M. Buczka. W okresie 8 miesięcy gang dokonał kradzieży na kwotę 176 tysięcy zł.

Wybrałem się do fabryki tropem tej sprawy, chcąc poznać mechanizm działania zorganizowanej grupy przestępczej. Temat reportażu nie zapowiadał się rewelacyjnie, ale w każdym razie wierzyłem, że potrafię z niego „wycisnąć" kilka interesujących spostrzeżeń.

Rzeczywistość zaskoczyła mnie. W trakcie zbierania materiału musiałem zmienić celownik poszukiwań, dotknąć spraw szerszych i znacznie bardziej bolesnych, niż jednostkowy wypadek kradzieży, nawet kradzieży na dużą skalę. Nie chcę uprzedzać faktów, muszę wszakże z góry przestrzec czytelnika, że wnioski nie będą dla niego przyjemne.

CO DOSTRZEGŁ PROKURATOR?

Gdy wchodzę do Zakładów im. Buczka, portier taksuje mnie leniwym spojrzeniem. Sekundę żywszego zainteresowania poświęca się tylko moim skarpetkom. To jego odruch zawodowy. Dzień w dzień musi skontrolować tysiące nóg, czy przypadkiem nie wymaszerują z fabryki w skarpetkach świeżo zdjętych z maszyny i jeszcze nie wykończonych.

Specjalnością portierów są rewizje osobiste. Skąd mieli wiedzieć, że trzeba kontrolować również numer boczny samochodu Przedsiębiorstwa Oczyszczania Miasta? Uszło ich uwagi, że przez kilka miesięcy obok wozu właściwego, który obsługiwał fabrykę zgodnie z planem, zajeżdżał tu i „partyzant" z innej dzielnicy. Dopiero, gdy pewnego dnia oba wozy spotkały się w bramie, wzbudziło to niejakie podejrzenie. Tym razem pierwszy do fabryki zawitał prawowity właściciel śmieci, intruz musiał się więc wycofać, mimo że miał umówioną wizytę. Ale powrócił nazajutrz, bo trzeba było jak najszybciej upłynnić towar, zamelinowany na terenie zakładu. Przy wyjeździe już na niego oczekiwali funkcjonariusze ochrony przemysłu. W taki oto sposób, zakończył się żywot gangu śmieciarzy.

Działalność gangu opierała się na dostawach sześciu pończoszników, którzy „wygospodarowywali" surowiec i półfabrykaty z bieżącej produkcji. Choć kradli ilości nie bagatelne, nie mieli — o dziwo — żadnych trudności przy rozliczaniu się z przędzy pobranej z magazynu. Ta właśnie uwaga, zawarta w akcie oskarżenia, kazała mi porzucić sprawę „śmieciarzy" i zająć się uważniej stosunkami w fabryce, która była miejscem afery.

Z BOCHENKIEM POD PACHĄ

Większość produkcji ZPP im. Buczka, to poszukiwane na rynku skarpety z przędzy elastilowej, obiegowo zwanej „helanco". Niedostateczna podaż sprawia, że podobne skarpety zagraniczne, n.b. ustępujące naszym pod względem trwałości i wcale nie piękniejsze, osiągają w sklepach prywatnych cenę dwukrotnie wyższą. Wśród rzemieślników, mających koncesje na przerób odpadków elastilu, zawsze znajdzie się ktoś nieuczciwy, kto chętnie skupuje kradzione surowce lub półfabrykaty.

Tak powstaje pokusa. Co najsmutniejsze, ulegają jej nie tylko ludzie pozbawieni wszelkich hamulców moralnych, ale i ci, którym w mniej „sprzyjających" warunkach nigdy by na myśl nie przyszło sięgać po społeczne mienie.

Elżbieta S. miała za sobą ponad 10 lat pracy w fabryce i nieposzlakowaną opinię. Którejś czerwcowej soboty ubiegłego roku przyszła na nocną zmianę z bochenkiem chleba pod pachą. Nic w tym dziwnego, w niedzielę o piątej rano chleba nie kupi, a jeść przecież trzeba. Wychodziła, trzymając bochenek w wysoko podniesionej ręce. Rewidentce przyszło na myśl, czy nie ukrywa ona czegoś między dłońmi a chlebem. Z wydrążonego bochenka wysypało się 14 par skarpet.

W ciągu ubiegłego roku w portierni fabrycznej podczas rewizji wykryto 28 kradzieży na ogólną sumę 11 tysięcy złotych. Ci wszyscy schwytani, po raz pierwszy wchodzili w kolizję z prawem, dziesięcioro z nich miało za sobą kilku lub kilkunastoletni staż zawodowy. Ryzykowali dobre imię i utratę pracy, bodaj najlepiej płatnej ze wszystkich we włókiennictwie, dla 100 czy 200 złotych „lewego" zarobku. W imię czego?

Ba, nawet w wypadku tych sześciu robotników pokumanych ze „śmieciarzami", uczucie żalu i złości bierze górę nad oburzeniem. Poza nimi w grupie przestępczej było jeszcze 9 osób: paserzy, obsługa wozu MPO, pośrednicy na terenie zakładu — windziarz i kierowca. Pięciu z tej dziewiątki było już karanych za kradzieże. Na tomiast z pończoszników — żaden. Jeden z nich nawet należał do grona najczynniejszych aktywistów w fabryce, w dowód uznania otrzymał od zakładu mieszkanie. To szczególnie przykre, że i tacy ulegają pokusie.

GDZIE JEST 200 TYSIĘCY PAR?

Jak to się dzieje, że kontrola wewnętrzna w fabryce nie potrafi zapobiec kradzieżom i złodzieja trzeba łapać dopiero na gorącym uczynku?

Otóż przy produkcji skarpetek istnieje norma techniczna dopuszczalnych strat surowca, różna dla każdego rodzaju przędzy, a wynosząca średnio 4,5 procent. Straty tłumaczą się wysuszeniem przędzy, odpadami produkcyjnymi, itp.

Zakłady im. Buczka mają 3 oddziały. Na oddziale „B", gdzie przerabia się tylko nieznaczne ilości elastilu, a podstawę produkcji stanowią inne surowce, norma strat na ogół nie jest w pełni wykorzystywana, a jeśli zdarza się przekroczenie, to najwyżej o ułamki procentów.

W odmiennej sytuacji znajdują się zakłady „A" i „D", w których ów „chodliwy" elastil jest podstawą produkcji (ponad połowa używanych surowców). Tam normy przekracza się stale i dość wysoko. W ubiegłym roku np. straty z tego tytułu wyniosły 6 ton przędzy, chyba głównie elastilowej, jeśli wnioskować przez analogię z zakładem „B".

Sześć ton, to dużo czy mało? Szukając odpowiedzi, zważyłem własne skarpetki. Wynik — 3 dkg. Łatwo więc obliczyć, że nie uzasadnione ubytki stanowią równowartość około 200 tys. par skarpet.

Z danych sumarycznych całego zakładu wynika, że przerobiono w ub. roku 284 tony elastilu, przekraczając planowane zużycie o około 2 tony. Ale też, jak się dowiaduję, planowano od razu straty wyższe, niż określa norma techniczna, bo norma ta ponoć jest jedynie wskaźnikiem orientacyjnym, którego zakład nie ma obowiązku ściśle się trzymać.

Tak czy owak cokolwiek brać za podstawę obliczania strat — normy techniczne bądź planowane zużycie — są to straty znaczne, budzące zastanowienie. Gdzie się ta przędza podziała? Czy zmarnotrawiono ją w trakcie produkcji, czy rozkradziono? Nikt nie potrafiłby udzielić odpowiedzi wprost. Ale jest odpowiedź pośrednia. Otóż w styczniu br. w oddziale „D", gdzie straty są zawsze najwyższe, wzmocniono w dwójnasób obsadę portierni i na nocną zmianę przeniesiono tu z centrali dyżur wyższego nadzoru technicznego. Przy rozliczeniu na końcu miesiąca okazało się, że nawet norma strat nie została w pełni wykorzystana, nie mówiąc o przekroczeniach. Wniosek, niestety, jest jednoznaczny: permanentnych przekroczeń nie można niczym usprawiedliwić.

Dziennikarz czy działacz społeczny, gdy występuje z zarzutami przeciwko jakiemuś środowisku czy grupie ludzi, a winnego za rękę nie złapał, zwykle bywa bardzo ostrożny w swoich wypowiedziach, otacza się mnóstwem zastrzeżeń w stylu: „do uczciwego zespołu zakradły się jednostki, które plamią jego honor... itd.". Jest to zrozumiałe, bowiem bez stuprocentowej pewności nikogo potępić nie można. W Zakładach im. Buczka na pewno również kradną tylko jednostki, ale — moim zdaniem załoga nie robi nic, albo bardzo niewiele, by im tę robotę utrudnić.

W STADIUM ROZDŹWIĘKU

Przed kilku laty przemysł dziewiarski przeszedł na system produkcji ciągłej. W praktyce oznacza to, że maszyny, wraz z pozostałym na nich surowcem, robotnik przekazuje w ruchu koledze z następnej zmiany. Tym samym w miejsce rozliczeń

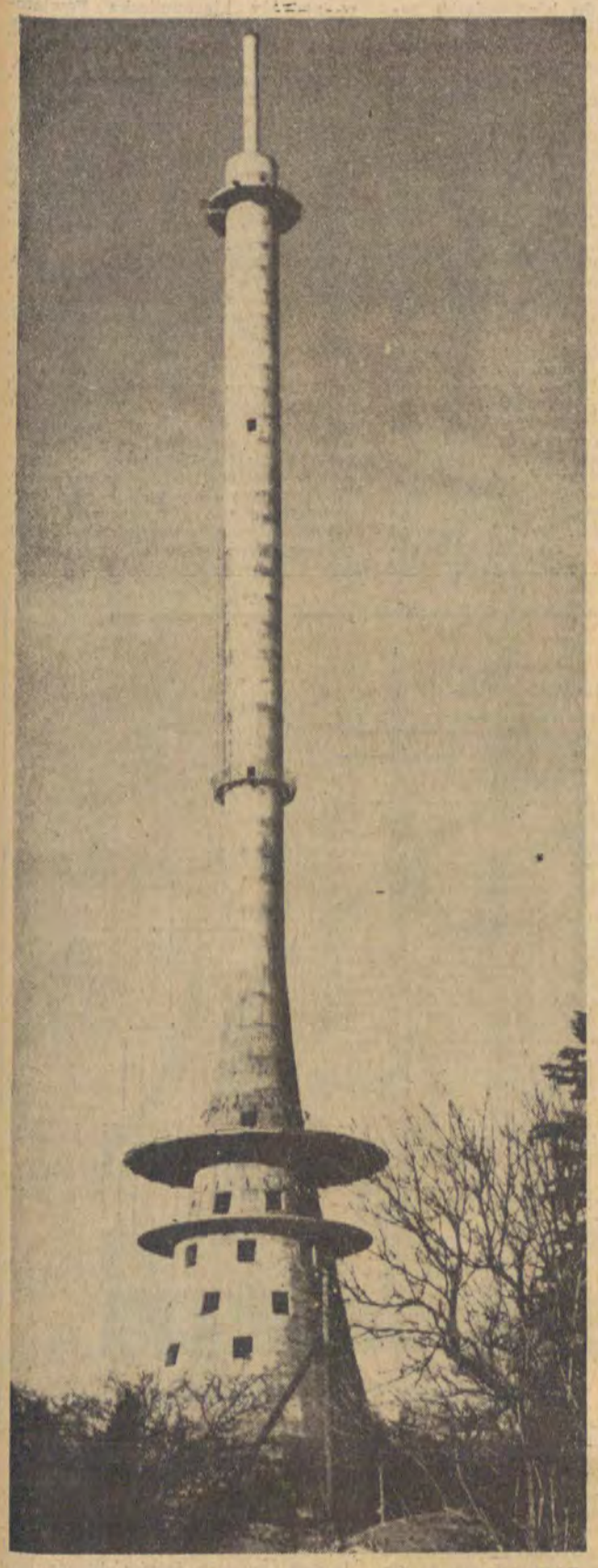

Fot. CAF

TV: W DUBLECIE i KOLOROWO

Dalszy ciąg ze str. 1

wa zupełnie minimalną, jeśli nie żadną rolę, w których ilość odbiorników jest bardzo mała. Na czangkaiszekowskim Tajwanie jeszcze w roku 1964 było nie więcej jak 100 aparatów telewizyjnych, a Turcja tak przecież bliska staremu kontynentowi europejskiemu legitymowała się jeszcze w roku 1961 skromniutką liczbą 500 aparatów TV. W stosunku do niej maleńki pachnący ropą naftową Kuwejt mógł się wśród tej grupy telewizyjnych Kopciuszków uważać za prawdziwą potęgę ze swoimi 1.100 odbiornikami telewizyjnymi.

Tak, to jest prawda. Wbrew pozorom współczesny świat nie jest jeszcze do końca opleciony przewodami telewizyjnymi, i nie wszędzie, nie w każdym mieszkaniu stoi w kącie pudło, które stanowi magnes powieczornych spotkań mieszkańców.

Ale prawdą jest również i to, że w wielu wysokorozwiniętych krajach dotychczasowe formy emitowania programów telewizyjnych już nie wystarczają, a czarno-biały obraz na małym ekranie powoli się przeżywa. Człowiek chce i w tym przypadku mieć przed okiem wierną kopię tego co dostrzega oraz rejestruje przy pomocy swoich źrenic.

* ☆ *

A więc — telewizja kolorowa.

Niewiele jest w świecie krajów, które mogły sobie na ten niewątpliwy jeszcze luksus pozwolić. Jak do tej pory, stałe programy barwnej TV emitowane są w Japonii oraz w Stanach Zjednoczonych. Ostatnio jednak zaczyna się coś zmieniać. Wiadomo, że na starym kontynencie europejskim toczy się podjazdowa walka o to, jaki system emitowania kolorowego obrazu na mały ekran trafi do największej liczby krajów. Nie tak dawno oficjalna francuska agencja prasowa — AFP podała, że minister badań naukowych A. Peyrefitte oraz wiceprzewodniczący Komitetu Nauki i Techniki ZSRR — D. Gwisziani wyrazili zadowolenie z przebiegu rozmów specjalistów francuskich i radzieckich, których eksperci omawiali szczegóły zastosowania wspólnego systemu telewizji kolorowej opracowanego w oparciu o francuski system SECAM i jego standard.

Podobne wysiłki robią także inne kraje — Wielka Brytania, NRF, Szwecja i Belgia, które emitowanie programów telewizji kolorowej traktują na razie jako eksperyment.

Niewątpliwą przeszkodą dla szybkiego rozwoju TV w kolorach stanowią tak względy natury technicznej jak i ekonomicznej. Koszt aparatury niezbędnej do emitowania programów kolorowej TV jest bardzo wysoki. Są również jeszcze inne niedociągnięcia, tym razem natury organizacyjnej, które uniemożliwiają rozwój w starej Europie jak i na całym świecie form emitowania telewizji z użyciem kolorów. Chodzi tutaj o brak jednolitego systemu, których w tej chwili jest w samej tylko Europie około... 20!

A jednak — mogę w tym miejscu powiedzieć: i Polacy nie gorsi, swoją kolorową telewizję chcą możliwie szybko „urządzić"!

Doświadczenia nad telewizją kolorową nie stanowią bariery dla myśli ludzkiej w tej dziedzinie. Trwają badania nad problemem uzyskania trójwymiarowego obrazu na szklanym ekranie. Prowadzone są one w kilku krajach, m. in. przy zastosowaniu tzw. holografii. Obraz przestrzenny otrzymuje się przy pomocy wiązki światła laserowego rzucanego dwukrotnie na specjalną płytę.

Daleko poza eksperyment wybiegają prace obecnie prowadzone przez naukowców Zakładu Telewizji Instytutu Łączności w Miedzeszynie pod Warszawą. W skład zespołu, którego działalność doprowadziła do emisji pierwszej w Polsce normalnej audycji TV w kolorach wchodzą m. in. doc. Lechosław Kędzierski, mgr inż. Andrzej Kiełkiewicz, inż. Janusz Podejko, mgr inż. Andrzej Łazukiewicz, mgr inż. Andrzej Jankowski oraz inż. Tadeusz Gerwatowski.

Nim jednak rozmawiałem z nimi, zaprowadzono mnie do jednego z warszawskich mieszkań. Na stoliku stało pudło telewizora, które w niczym nie zapowiadało, że jest w pewnym sensie aparaturą naukową. A jednak to właśnie przy pomocy tego urządzenia miałem za chwilę być świadkiem odbioru programu kolorowego polskiej TV...

Wszystko wygląda tak, jakby przedmioty, twarz spikerki, to co chce pokazać widzowi oko kamery przyoblekło się w mieszaninę barwy zielonej, czerwonej i niebieskiej. Dla widza, który jest przyzwyczajony do czarno-białej emisji jest to szok — i nie mogę powiedzieć, że przyjemne zaskoczenie. Program trwał zaledwie 10 minut. A potem w Miedzeszynie pokazano mi jak się to robi.

* ☆ *

W maleńkim studio miedzeszyńskiego Instytutu Łączności starano się mnie, laika, zapoznać z wynikami dotychczasowych badań.

Zanotowałem: stosowane obecnie systemy telewizyjne wykorzystują tzw. trójbodźcową właściwość ludzkiego wzroku. Sprowadza się ona do tego, że oko człowieka odbiera trzy podstawowe kolory — zielony, niebieski i czerwony. Reszta barw powstaje przez odpowiednie łączenie. Tę właściwość ludzkiego oka wykorzystały wszystkie pierwsze systemy kolorowej TV wprowadzone na świecie, a które używały do emisji kineskopów wyposażonych w trzy tzw. luminofory — zielony, czerwony i niebieski. Urządzenia te odbierały osobno barwne sygnały specjalnymi kanałami. Używane współcześnie systemy emitują tylko jeden sygnał, którego rozdzielenie następuje już w odbiorniku. Jest to bardziej nowoczesny i chyba także bardziej oszczędny system.

Ale — co robi się w tej chwili w Miedzeszynie?

Nasz kraj nie stać obecnie na „skonstruowanie" własnego systemu kolorowej telewizji. Najwłaściwszym rozwiązaniem jest więc wykorzystanie doświadczeń krajów bardziej zaawansowanych w tych badaniach, a jak twierdzą specjaliści, system SECAM jest dla nas najodpowiedniejszy. Cały wysiłek młodych fachowców dowodzonych przez doc. Kędzierskiego idzie więc nie tyle w kierunku badań nad sposobami emitowania kolorowych programów, ale nade wszystko nad przygotowaniem krajowej aparatury ze szczególnym uwzględnieniem budowy urządzeń odbiorczych. Wprowadzenie w naszym kraju kolorowej TV jest sprawą bardzo skomplikowaną bowiem sprowadza się nie tylko do przygotowania odpowiedniego „systemu", ale także do skonstruowania i wyprodukowania odpowiedniej aparatury nadawczo-odbiorczej, nie wyłączając aparatu, który mógłby trafić do każdego domu.

Najbardziej frapujące pytanie oczywiście brzmi: kiedy w Polsce będzie emitowany już nie eksperymentalny, ale prawdziwy program kolorowej TV?

Wprowadzenie kolorowej TV to sprawa jeszcze co najmniej kilku lat. Niektórzy mówią, że będzie to rok 1968, inni stawiają na rok 1970. Chodzi nie tylko o nasze wysiłki ale o zsynchronizowanie i wykorzystanie tego co się robi na tym polu w innych krajach socjalistycznych. Wiadomo także, że koszt aparatu służącego do odbierania kolorowych programów TV byłby bardzo wysoki i wahałby się w granicach 20—25 tys. zł. Koszty eksploatacji oraz cena aparatów telewizyjnych przystosowanych do odbioru kolorowych programów TV będą mogły ulec poważnemu obniżeniu właśnie wtedy, gdy wszystkie kraje należące do jednego systemu emitowania połączą swoje wysiłki, nie wyłączając wysiłków przemysłów elektronicznych zajmujących się budową aparatury i odbiorników.

Tak więc jeszcze „trochę" wody upłynie w Wiśle nim będziemy mogli usiąść przed szklanym ekranem i dojrzeć na nim Edytkę — w kolorach tęczy!

KRZYSZTOF POGORZELEC

---

indywidualnych, wprowadzono odpowiedzialność zespołową trzech osób (tyle jest zmian w ciągu doby). Robotnicy do dziś nie chcą się pogodzić z tym systemem. Ostatnio np. w listopadzie ub. roku 80 pończoszników z Zakładów im. Buczka wystosowało do dyrekcji zbiorową petycję w sprawie przywrócenia rozliczeń indywidualnych, notabene do dzisiaj pozostawioną bez odpowiedzi.

Mówi robotnik: „Ja jestem od produkcji, pilnowaniem surowca niech się zajmuje dyrekcja, mnie obchodzi, żebym zrobił dużo i dobrze". Dyrekcja argumentuje: dobierajcie się trójkami według własnego uznania, z kolegami, do których macie zaufanie. Ale fabryka to nie sklep, gdzie obowiązuje zasada wspólnej odpowiedzialności, wielu robotników nie chce więc brać na siebie takiego obowiązku i odmawia podpisania odpowiedniej deklaracji. Dyrekcja dostarcza każdemu zespołowi zamykanych szafek dla przechowywania przędzy i gotowych wyrobów. Robotnicy, jak mogłem się zorientować w czasie zwiedzania zakładu, celowo te szafki demolują, żeby wykazać nieprzydatność stosowanej zasady. Powybijane szybki w drzwiczkach, pourywane skoble. Mój przewodnik wtrąca: „kłódek nie można nastarczyć".

Odnoszę wrażenie, iż załoga Zakładów im. Buczka znalazła się w niebezpiecznym stadium rozdźwięku między interesem społecznym i interesem jednostki. Robotnik nigdy nie jest pewien, czy pod koniec miesiąca jego zespół nie wykaże się stratami rzędu 20 procent pobranej przędzy, bo i takie bywają, czy nie obciąży go nieuczciwość kolegi. W związku z tym robotnicy zupełnie przestali dbać o powierzony sobie surowiec. Ukradną? To trudno. Do jakiego stopnia stali się obojętni, niech świadczy następujący wypadek:

W ubiegłym roku któregoś dnia portier zatrzymał jednego z pończoszników, podejrzewając, że tamten coś wynosi. Zatrzymany uznał widać, że tak, czy tak jest „spalony", bo uderzył portiera z całej siły w szczękę, wybijając mu ząb, wyrwał się i uciekł. Zdarzyło się to „na styku" zmian, portiernia pełna była ludzi wchodzących i wychodzących z pracy, jednak za łobuzem nikt się nie ruszył. Zwolniono go potem dyscyplinarnie za chuligaństwo, ale kradzieży już mu się nie dało udowodnić, zdążył wszystko ukryć.

Z OGRANICZONYM SKUTKIEM

Z momentem wprowadzenia produkcji ciągłej, dyrekcja i organizacje społeczne zakładu podjęły pewne zabiegi natury organizacyjnej i wychowawczej. Z tymi ostatnimi różnie bywało. Wytypowano np. któregoś roku pietnastu najbardziej „pewnych" pończoszników i uroczyście, z dniem 22 Lipca, postanowiono zwolnić ich z obowiązku poddawania się rewizji przy wyjściu. Pomysł nie wszedł w życie, bowiem w przeddzień ogłoszenia go załodze, jeden z tej pietnastki został przez portiera przyłapany na kradzieży. Ale to tylko uwaga marginesowa, odnośnie nieskuteczności działania przedsięwzięć podejmowanych na wyrost.

Zastosowana w zakładzie metoda dość ścisłych, comiesięcznych rozliczeń „trójek" obsługujących poszczególne zespoły maszyn (a nie — dla przykładu — rozliczeń całej sali, jak to bywa w innych fabrykach), przyniosła początkowo wyraźne korzyści. Np. w przejętym przez zakład przed dwoma laty oddziale „D" udało się stopniowo ograniczyć wysokość strat z 20 do 6 procent.

Wypadki wykrytych kradzieży traktowane są bardzo rygorystycznie, kończą się każdorazowo zwolnieniem dyscyplinarnym i wszczęciem dochodzenia przez organa ścigania. Jeżeli grupa manewrowa ochrony przemysłu (popularnie zwana „lotną") przychwyci kogoś już poza bramą fabryki, zwykle kończy się to również usunięciem portiera, aktualnie pełniącego dyżur. Kilkakrotnie organizowano spotkania załogi z przedstawicielami MO i prokuratury, sprawom kradzieży poświęcono specjalną KSR i wiele egzekutyw Komitetu Zakładowego partii. Efektem stałego pobudzania czujności i troski o społeczne mienie było m. in. wykrycie jednej z większych kradzieży przez samych robotników w momencie, gdy milicja już „dała spokój".

Przy tym wszystkim u moich rozmówców z kierownictwa zakładu dostrzegam pewnego rodzaju znużenie. „Wyczerpaliśmy już wszystkie możliwe środki — mówią — a groźby kradzieży nie udało się zlikwidować". W tym miejscu warto wtrącić charakterystyczną uwagę dyrektora Zjednoczenia Przem. Dziewiarskiego — E. Meca: „W naszej fabryce w Cieszynie, a także w fabrykach w woj. opolskim od lat nie notowaliśmy ani jednego wypadku indywidualnej kradzieży". Wniosek stąd, że również w Zakładach im. Buczka oraz w innych fabrykach dotkniętych tą samą chorobą, można znaleźć wyjście z obecnej, trudnej sytuacji.

Sygnalizowaliśmy zjawisko obojętności załogi. Ale na pewno i wśród robotników są tacy, których piecze wstyd za postępowanie współtowarzyszy pracy. A piecze nie mniej dojmująco niż skarpetki helanco w letni upał. To oni właśnie byli inicjatorami wspomnianej petycji. Żądanie jest anachroniczne, bowiem przywrócenie rozliczeń indywidualnych oznaczałoby spadek produkcji fabryki orientacyjnie o 15 procent, na co przy obecnych, napiętych zadaniach nie można sobie pozwolić. Ale znamienny jest sam fakt wystąpienia. Dlaczego pozostało bez odpowiedzi? Dyrektor fabryki stwierdza, że udzielał odpowiedzi ustnej na posiedzeniu rady zakładowej, jednak z dalszego toku rozmowy wynika, że petycji tej w ogóle nie widział, mimo iż robotnicy twierdzą, że została skierowana na dziennik korespondencji przychodzącej.

Powyższe nieporozumienie jest chyba sygnałem jakiegoś głębszego konfliktu między załogą i administracją fabryki. Administracja ma „czyste sumienie": Nikt z pracowników umysłowych nigdy w żadną kradzież nie był zamieszany. Po drugie — robi się wszystko, by kradzieżom zapobiegać. Mimo jednak rygorystycznego traktowania każdego takiego wypadku z osobna, nie mogę nie odczuć pewnego bagatelizowania tego problemu jako zjawiska ogólnego. Przecież straty z powodu jawnych lub domniemanych kradzieży — powiada się — to tylko znikomy odsetek wyrobów!

Rzecz w tym, iż fabryka widocznie nie weszła jeszcze w reżim ścisłej oszczędności surowca. Przekraczanie norm technicznych i planowanego zużycia pozostaje bez większego wpływu na wyniki gospodarcze zakładu. Za przekroczenie normy strat robotnikowi grozi zmniejszenie premii z funduszu zakładowego. Jego bezpośredniemu zwierzchnikowi — mistrzowi, nie grozi już nic. Trzeba tu zgodnie z prawdą przypomnieć, że z postulatem uzależnienia miesięcznej premii mistrzów od zużycia surowca, ZPP im. Buczka wystąpiły już przed dwoma laty. Sprawa wciąż jest „w załatwianiu". Zjednoczenie czeka z wprowadzeniem tej zasady do najbliższej regulacji płac. Dotychczas jednak nie wysuwano postulatu, by podobnym systemem objąć i robotników, co — można sądzić — byłoby jeszcze skuteczniejsze.

Rzecz jasna, wdrożenie nowych metod gospodarowania, które stworzyłyby potrzebę większego „szacunku" dla cennego surowca, jest nie tylko sprawą fabryki, ale również jej władz nadrzędnych. Wprowadzenie bodźców materialnego zainteresowania zużyciem surowca — premii za oszczędność i kar za marnotrawstwo — na pewno samo przez się nie zlikwidowałoby złodziei, ale przyczyniłoby się do zwiększenia troski o powierzone mienie wśród uczciwej części załogi, która — nie wątpię — stanowi większość.

DZIURA W CAŁYM?

Przystępując do zbierania materiału, zostałem przyjęty przez niektóre osoby z kierownictwa zakładu jak intruz, szukający „dziury w całym". Mówiono mi: Przecież wykonujemy właściwie swoje zadania. W minionym pięcioleciu wyprodukowaliśmy ponad 97 milionów par skarpet. Wartość naszych wyrobów w cenach zbytu wyniosła 2,6 mld. złotych, co oznacza przekroczenie planu o ponad 2 procent. W ostatnim roku daliśmy na eksport do 40 krajów ponad 3,3 mln. par o wartości 2,3 mln. złotych dewizowych. Wy tymczasem chcecie nas tylko oczernić".

Z treści artykułu czytelnik łatwo zorientuje się, że w fabryce mylnie odczytano nasze intencje. Poruszyliśmy sprawę kradzieży w zakładach produkcyjnych, używając ZPP im. Buczka jako konkretnego przykładu, gdyż jest to problem istotny zarówno ze społecznego, jak też ekonomicznego punktu widzenia.

Chciałoby się krzyknąć w głos wobec załogi: Ludzie, weźcie tę sprawę w swoje ręce, przypomnijcie sobie, że jesteście gospodarzami zakładu! Rozumiem jednak, że apele wywołują tylko doraźny skutek, a i to nie w każdym wypadku. Dlatego do zapanowania nad sytuacją potrzebne są również głębsze, trwałe zmiany w ekonomice i organizacji produkcji.

W dwóch tylko oddziałach ZPP im. Buczka w ubiegłym roku poszło na straty — zarówno te usprawiedliwione normą ubytków, jak też straty nie uzasadnione — ponad 17 ton przędzy, z czego chyba więcej niż połowa — cennego elastilu. W trosce o korzyść zakładu i dobro konsumenta warto zadbać o każdy kilogram deficytowego surowca, który byłby do uratowania.

MOJA PRZYGODA w DNIACH OŚWIATY, KSIĄŻKI i PRASY

STANISŁAW CZERNIK

Hania P.

Niewiele mam doświadczeń z zakresu spotkań autorskich. Raczej ich unikam. Nie znaczy to, bym lekceważył kontakty z czytelnikami. Przeciwnie, bardzo je cenię. Ale zawsze czuję się niezmiernie skrępowany na każdym „występie", gdy mam mówić o sobie. Co innego prelekcja lub wykład, wtedy jestem w swojej roli. Ale spotkanie autorskie, siłą rzeczy związane z własną osobą, odbiera mi swobodę słowa i zawsze zdaje mi się, że występuję w niewłaściwej dla mnie roli aktora. Niemniej zdarza się, że dwa, trzy razy w ciągu roku ulegam propozycji. Ponieważ na swój sposób „przeżywam" spotkanie z czytelnikami, a może też dlatego, że było ich niewiele, zazwyczaj na długo pozostają w pamięci. Każde z nich okazuje się jakąś „przygodą", a razem zebrane mogłyby stanowić materiał do interesującego eseju.

Oto kilka zwięzłych przypomnień różnorodnego rodzaju.

Zacznę od najdrastyczniejszej „przygody" — w Zrebiu koło Płocka. Zgromadziło się sporo uczestników. Przeważały kobiety wracające z nabożeństwa majowego i liczna grupa młodzieży licealnej, bardzo wyrobionej, interesującej się poezją, dyskutującej ze mną na temat wierszy Grochowiaka. Spośród mężczyzn wyróżniał się stary działacz ludowy, który przyszedł na spotkanie mocno podgazowany. Na razie był spokojny, potakujący, przychylny. W pewnym momencie poderwał się, mówiąc: „Tak, tak, to samo przecież twierdziłem trzydzieści lat temu". Za chwilę znów podobne potwierdzenie: „A właśnie, to samo mówiłem trzydzieści lat temu". Z mej strony nowe zdanie, stary działacz jeszcze silniej aprobuje je, odwołując się na świadków. Trwał taki „dialog" dłużej. Byłem bezradny, ale słuchacze niecierpliwili się, aż ktoś sprowadził dyżurującego w pobliżu milicjanta. Działacz potulnie opuszczał salę, ja jednak — powodując się dobrotliwością — prosiłem milicjanta, by zaniechał interwencji. Zgoda, ale działacz nabrał ducha i w dalszym ciągu prowadził ze mną „dialog" jak to on postępował trzydzieści lat temu. Uspokoił się w końcu, gdy podarowałem mu książkę — z dedykacją. Mówiono, że to wartościowy obywatel. Szkoda tylko, że przyszedł na spotkanie „pod gazem".

Sięgnę do innego, bardziej przyjemnego wspomnienia. Było to na wsi w powiecie gorlickim. Pierwsze, w „dziejach" tej gromady spotkanie z pisarzem. Przygotowano je niezwykle starannie. Staropolska gościnność święciła triumfy: kawa i ciasta własnej roboty Koła Gospodyń Wiejskich. Sala ustrojona zielenią i kwiatami. Gromadka uczniów w strojach ludowych, z chorągiewkami w rękach. Zebrało się dużo ludzi, jakieś proste, ale wzruszające powitanie. Bardzo to cieszyło i podniecało. Wydaje mi się, że dobrze wypełniłem swoją rolę, jak oni słuchali, jak przyjmowali ze zrozumieniem moje proste wiersze — o pługu, koniu, psie-prostaku! Wszyscy byliśmy wzruszeni. W końcowej części spotkania zwróciłem się do zebranych, by wypowiadali własne uwagi, myśli, by stawiali pytania. I właśnie pytań było najwięcej. Interesowano się moim życiem, skąd pochodzę, czy mam rodzinę. Chętnie odpowiadałem, a gdy była mowa o sprawach rodzinnych, przyznałem się także, że mam dwie małe wnuczki. W tym momencie podbiegła do mnie urocza, może ośmioletnia dziewczynka, Hania P. W ręku trzymała małą tabliczkę czekolady. Prośba, z zawstydzeniem, prawie ze łzami — bym tę czekoladę przyjął od niej, Hani P., dla moich wnuczek. Oczywiście, przyjąłem, ucałowałem dziewczynkę i podarowałem jej książkę z dedykacją. To była najpiękniejsza moja „przygoda" podczas spotkań autorskich.

TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI

Z raptularza

Mimo swych domatorskich nałogów lubię autorskie spotkania poza rogatkami miasta. Daja nie tylko duża satysfakcje, często miłe i schlebiające próżności własnej, sprawdzenie swej przydatności i ciekawe, często niepowtarzalne obserwacje. Wprowadzają urozmaicenie w monotonię biurkowego obcowania — przy prozie przez szereg lat — wciąż z tymi samymi postaciami pisanej książki — postaciami z grubsza już określonymi, co do których z dawna wiadomo, kto i gdzie i dla jakiej własnej satysfakcji — podłoży człowiekowi świnię i kto mi przeforsowaniem jakiejś jego własnej sprawy zajmie jednorazowo tyle czasu, ile ja moimi sprawami zabiorę go wszystkim moim słuchaczom razem w ciągu okrągłego roku.

Mógłby powstać (może kiedy jeszcze powstanie) z takich prelegenckich wojaży tom opowiadań czy dykteryjek. Brak czasu, nagłość i rygory za mówienie każa sięgnąć po kilka pierwszych z brzegu wspominków, rzecz jasna, jak najbardziej skondensowanych.

Ot, dla przykładu. Spotkanie przed wielu już laty z młodzieżą Domu Młodego Robotnika na Stokach. Nawet nie wiem, czy jeszcze egzystuje. Temat: specyfika współczesnej poezji. Narzucony przez organizatorów, bardzo trudny do popularnego wyłożenia: nie do uniknięcia są tzw. terminy. Mówię, pocę się wewnętrznie. Idzie mi jednak dość dobrze. Z satysfakcja stwierdzam, że mówię stosunkowo płynnie, a nawet z werwa. Słuchacze siedzą bardzo przykładnie, jest wzorowa cisza. Wreszcie skończyłem. Proponuję pytania, dyskusję — to, co się zazwyczaj w takich razach proponuje. Wzorowa cisza trwa jednak nieprzerwanie dalej, przedłuża się. Nad miarę się przedłuża. Wreszcie zabiera głos instruktor oświatowy. Podziękowawszy w kilku okrągłych zdaniach za „interesujący i wnikliwy wykład", wyjaśnia, że dyskusja nie odbędzie się, ponieważ słuchacze — wskazał zamaszystym ruchem na pogrążoną w głębokim skupieniu młodzież — są to Grecy i oni jeszcze nie umieja po polsku. (Było to w kilka miesięcy po zdławieniu demokratycznego powstania w Grecji, kiedy to Polska dała, jak wiadomo, azyl wielu młodym uchodźcom politycznym).

Podczas jednej z „Jesieni literackich" na Opolszczyźnie przed kilku laty gościnni gospodarze zorganizowali jedno z wielu zbiorowych spotkań autorskich w bibliotece miejskiej bodaj w Namysłowie. Jedziemy: Jan Brzoza, Jan Maria Gisges i ja. Miał jechać również Jerzy Putrament, ale coś mu wypadło.

Zajeżdżamy trochę przed czasem. Na budynku biblioteki „ręcznie malowany" afisz, z liternictwem typu „kulfon", reklamujący naszą imprezę. Afisz informuje, że spotkają się za chwilę z czytelnikami tej miary pisarze, co:

Brzoza J.
Maria G.
Jerzy Put-
Tadeusz Chróścielewski.

Organizatorka miejscowa, zarazem autorka afisza tłumaczyła nam w chwilę później, że tak jej podano przez telefon nazwisko Jana Marii Gisgesa, a Putramenta nie udało jej się zmieścić, bo... dostarczony jej papier na afisz był za wąski.

TADEUSZ GICGIER

Dwie podróże

W pierwszą podróż wyruszyłem pewnej majowej niedzieli w roku 1953. Gdyby czytelników interesowało, jaką mieliśmy wtedy wiosnę, mogę z całą pewnością zaręczyć, że deszczową. Od rana znowu lało, wsiadałem pod strugami deszczu do autobusu i później, jadąc już szosą w kierunku Sieradza, patrzyłem przez mokrą szybę na przydrożne drzewa, których pnie poczerniały od wilgoci. Ten widok nie nastrajał mnie optymistycznie, tym bardziej, że cel mojej podróży nie miał bynajmniej charakteru wycieczkowego. Było to w okresie programowych kontaktów miasta ze wsią, i jako reprezentant miasta, a mówiąc ściślej — łódzkiego Klubu Młodych Pisarzy, miałem nawiązać współpracę z wiejską świetlicą w Unikowie.

Wysiadłem na pustej szosie za Złoczewem, zapiąłem pod szyją deszczowy płaszcz i poszedłem drogą do wsi. Mimo, że była już pora popołudniowa, drzwi miejscowej świetlicy zastałem zamknięte. Wcisnąłem się we framugę i patrzyłem melancholijnie na siąpiący teraz spokojnie i równo deszcz.

Po jakimś czasie nadeszła kierowniczka świetlicy, młoda i schludna kobieta. Była wyraźnie skonsternowana, bąknęła coś o tym, że spodziewała się mego przyjazdu później. Przeszliśmy do niedużej izby za świetlicą i tu kierowniczka zaczęła użalać się przede mną. Że miejscowi chłopi są nieufni, podejrzliwi, zwłaszcza, jeśli idzie o jakieś nowości, że mniej ich razi widok synów czy cór w gospodzie, niż w świetlicy. Dotyczy to zresztą nie tylko rodziców — również wiekszość nauczycieli patrzy krzywym okiem na uczniów, którzy zgłosili chęć wstąpienia do świetlicowych zespołów. Ona, kierowniczka świetlicy, wespół ze swym mężem, czują się trochę tak, jakby znaleźli się na wyspie, która otaczają ze wszystkich stron nieprzyjazne wody.

Potem, gdy zeszło się trochę osób starszych, kilka młodych par i sporo dzieci, i gdy wdałem się w rozmowę z przybyłymi, przekonałem się, że na tej wyspie, oprócz kierowniczki świetlicy i jej męża, znajduje się jeszcze jeden człowiek, tyle że z sąsiedniej wsi. W pewnej chwili podszedł do mnie pewien mężczyzna o prostej jeszcze sylwetce, lecz zniszczonej twarzy i z widocznym zażenowaniem wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki kilka pomiętych listów. Były to listy od znanych poetów, od Staffa, Tuwima, do których pisywał i którzy mu odpowiedzieli, przysyłając ponadto swe książki z dedykacjami. Powiedział mi, że bardzo się ucieszył z tych książek, bo rzadko bywa w mieście i nie zawsze ma za co książki kupić. Prenumeruje za to pisma literackie i czyta je „od deski do deski", zaniedbując trochę pracę w polu, więc na wsi mówią o tym bardzo rozmaicie.

— Czy wie pan, jak mnie tu nazywają? A właściwie, to nieraz wcale nie nazywają, tylko stukają palcem w czoło.

Pisywaliśmy potem do siebie przez jakiś rok czasu. Ostatni list otrzymałem od mego znajomego, opatrzony stemplem poczty wrocławskiej. Donosił mi, że przeniósł się do Wrocławia i pracuje tam w fabryce. Zarabia nieźle, może sobie kupować dużo książek, także tych z wierszami, i w ogóle czuje się znacznie lepiej. Nie napisał mi, co wpłynęło na decyzję opuszczenia rodzinnej wsi, ale mogłem domyślić się tego bez trudu.

* * *

Przed dwoma tygodniami zostałem zaproszony do Kwiatkowic w powiecie łaskim. Towarzyszyła mi w podróży kierowniczka Powiatowej Biblioteki w Łasku, sympatyczna starsza pani, z którą odbyłem już kilka wypraw na wieś. Było słoneczne, wiosenne, niedzielne popołudnie, i chociaż nie poruszaliśmy tego tematu w rozmowie, oboje obawialiśmy się o zebranie słuchaczy przy takiej pogodzie. Wszechwiedząca pani kierowniczka napomknęła coś tylko o tym, że w Kwiatkowicach zbiegają się dzisiaj dwie imprezy, spotkanie z literatem i spotkanie z wojskiem...

W sali klubu, mieszczącego się w budynku Gromadzkiej Rady Narodowej, było tylko grono dzieci. Ale potem zaczęła przybywać młodzież, a po niej — starsi gospodarze. Wreszcie zabrakło miejsc siedzących, więc część przybyłych ustawiła się wzdłuż ścian i po obu stronach drzwi, sporo osób stało pośrodku, między krzesłami. Wytrwali tak ponad dwie godziny.

Daleki jestem od tego, by przypuszczać, że wytrwali tak dla mnie. W toczącej się swobodnie rozmowie pytano mnie o różnych współczesnych pisarzy, polemizowano ze skrzywionym w niektórych książkach obrazem naszej rzeczywistości. Młodzież interesowała się sprawą wyboru tematu do książki, zbieraniem materiałów literackich. Starsi, a zwłaszcza jeden z nich, podjął trudną kwestię języka literackiego we współczesnych opowiadaniach i powieściach.

I wtedy przypomniałem sobie Józefa Wydrzyńskiego (bo tak nazywa się mój znajomy z pierwszej podróży). Dowiedziałem się niedawno, że wrócił do swej rodzinnej wsi, Wilkołka Grójeckiego. Jak mu się tam teraz powodzi? Czy jest jak dawniej osamotniony, czy może sąsiedzi patrzą już na niego inaczej?

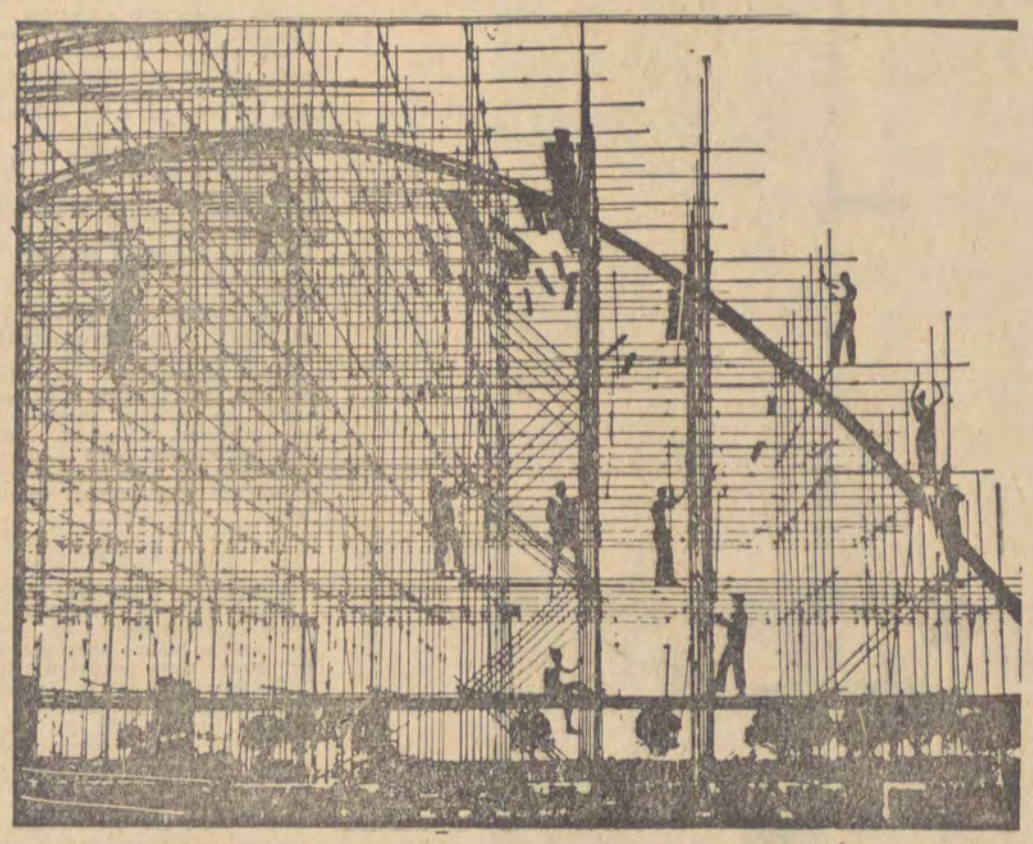

Fot. Velicska Mihajlova

LEON GOMOLICKI

Możliwe czy niemożliwe?

W Dniach Oświaty, Książki i Prasy odbywa się najwięcej spotkań czytelników z autorami, które dla nas są spotkaniami autorów z czytelnikami. A najwłaściwsze z nich

WKOLEJCE po KSIĄŻKĘ

Dalszy ciąg ze str. 1

rych literatur (spowodowane zresztą częściowo wyczerpaniem w ciągu kilku lat najwartościowszych pozycji literatury światowej nie wydawanej przed 1956 r.). To jest jednak tylko jedna strona medalu. Bo w tym krótkim bilansie realnych środków i możliwości, stojących przed działaczem kulturalnym i zwykłym konsumentem literatury, nie sposób pominąć takich aktywów jak: rozbudowana sieć bezpłatnych bibliotek i czytelni książek (prasy), kilka dużych centralnych wydawnictw oraz szereg specjalistycznych i regionalnych, zdolnych i wytrawnych tłumaczy, wybitnych pisarzy, szereg pism kulturalno-literackich, oraz dodajmy ponadto, że książka jest stosunkowo tania, a tłumaczenia z literatur obcych są staranne i nieprzypadkowo dobierane.

Do strony passywów musimy, niestety, dopisać niezupełne wykorzystanie wszystkich tych atutów — i to zarówno przez samych zainteresowanych (odbiorców), jak i przez działaczy odpowiedzialnych „za kulturę".

PRZYKŁAD WYMOWNY

Zajmijmy się choćby sprawą wykorzystania bibliotek publicznych — miejskich, powiatowych i gromadzkich — i zobaczmy, co mogą one ofiarować swej przeszło czteromilionowej rzeszy czytelników. Biblioteka publiczna w pewnych wypadkach jest najpoważniejszym źródłem, skąd można czerpać książki, a często (w niektórych regionach kraju, zwłaszcza w ośrodkach pozawielkomiejskich) źródłem jedynym. Toteż trudno przecenić rolę bibliotek w kształtowaniu gustów i postaw czytelniczych. W tej sytuacji ogromna odpowiedzialność spada na bibliotekarzy, tym bardziej, że po zdecentralizowaniu zakupów do bibliotek (1957) w ich rękach spoczywa decyzja, co i ile zakupić. Eliminuje to wprawdzie błędy minione (kierowanie z góry określonych książek do bibliotek bez liczenia się z możliwością ich recepcji), ale decentralizacja zakupów nie rozwiązuje problemu, a przeciwnie — stwarza nowe.

Tak się nieszczęśliwie złożyło, że decentralizacja zbiegła się w czasie z masowym wznawianiem klasycznych pozycji rozrywkowo-kryminalnych, a pozbawieni często orientacji bibliotekarze, pozostawieni samym sobie, chcąc przy tym utrzymać wysokie wskaźniki czytelnictwa, właśnie te książki zakupywali, kosztem pozycji cenniejszych, a trudniejszych — bowiem fundusze przeznaczone na zakup nowości były ograniczone. Wytworzyła się tak paradoksalna sytuacja, że decentralizacja mająca przynieść polepszenie sytuacji czytelniczej, znacznie ją czasami pogarszała, bo zamiast odgórnie kierowanych do bibliotek produkcyjniaków, znalazły się w nich, zakupione przez „rzutkich" bibliotekarzy, kryminały, albo książki przypadkowe — nikomu niepotrzebne, zakupione tylko dlatego, że już nic innego nie można było dostać w księgarni. Na szczęście nie działo się tak wszędzie, zresztą możemy tu w ostatnich latach odnotować wyraźny postęp.

Nie jest już dzisiaj podstawowym problemem ustalenie odpowiednich proporcji księgozbiorowych między pozycjami rozrywkowymi, wartościową beletrystyką i literaturą popularnonaukową. Znacznie większym problemem jest dla bibliotekarzy zdobycie wszystkich tych pozycji, które by mieć chcieli w swoich placówkach. Na czoło wysuwają się więc zagadnienia racjonalnego wykorzystania istniejących księgozbiorów, ale co robić w sytuacji, gdy gusty czytelników wykazują tendencje „stadne"? Na przykład: w powiatowej wypożyczalni książek znajduje się kilka egzemplarzy „Spiżowej bramy" i „Opowieści biblijnych"; gdyby książki te przeczytać chcieli wszyscy czytelnicy (kilka tysięcy osób), to ostatni z nich musiałby, przy sprawnej organizacji, jak łatwo obliczyć, czekać w kolejce lat... kilkadziesiąt. I rzeczywiście, na poszukiwaną pozycję ludzie muszą czekać.

JESZCZE O BIBLIOTEKACH

W przeddzień przygotowywanej przez Ministerstwo Kultury i Sztuki nowej ustawy bibliotecznej, warto jeszcze przyjrzeć się wybranym zagadnieniom obecnej sytuacji bibliotek i ich możliwości w kształtowaniu gustów czytelniczych.

są oczywiście te, które odbywają się w bibliotekach: na tle regałów z książkami łatwiej się mówi o książce. Zwłaszcza w bibliotekach małych, gdzie bez trudu można sięgnąć po książkę, którą kiedyś się popełniło, albo pokazując na półki opowiedzieć, jak w szkolnym wieku dorwałem się do biblioteki gimnazjalnej i czytałem „na bieżące metry", tj. jak książki stały: zacząłem od sufitu przy popiersiu Homera, skończyłem na dolnej półce przeciwległej ściany, gdzie kąt zajmował wielki globus nieba. Zastanawiałem się też wówczas nad możliwością powstania (napisania) książki jedynej czyli ostatniej, po której wszystkie poprzednie straciłyby swoją wartość. Czy jest w ogóle możliwa taka książka?

Nie spodziewałem się odpowiedzi, ale jeden z moich słuchaczy — czytelników — chudy, ponury młodzieniec — zareagował niespodziewanie ostro: „Proszę pana, żeby w dwudziestym wieku coś było niemożliwe!" Taka stanowcza replika pokrzepiła mnie wprawdzie, ale nie przekonała do końca. Przypomniałem sobie Międzynarodowe Targi Książki, na których zalew pięknie zadrukowanego papieru wywiera na mnie zawsze wrażenie przygnębiające. Po takiej wystawie powinno się raczej stracić zaufanie do słowa. Staje się ono tak małe, jak na taśmie mikrofilmu ze sfotografowanymi kartami książki, wówczas gdy kilkanaście wyrazów wyrytych na tablicach dekalogu miało wagę i wielkość głazów. Wtedy cały moralny i myślowy bagaż narodu mógł się zmieścić w jednej książce, teraz gubimy się wśród drobnych bibliograficznych podziałów. Tak że z „dwudziestym wiekiem" sprawa wcale nie przedstawia się prosto. Mimo to — dodałem — wierzę jednak, że literatura przetrwa potop zadrukowanego papieru.

Po tych słowach zrobiłem pauzę, właściwie nie musiałem uzasadniać twierdzenia. Ale audytorium moje milczało wyczekująco. Więc powiedziałem: Wiemy, że istnieją różne modele literatury, i gdy mówię o „przetrwaniu", myślę o literaturze w duchu definicji Whitmana — oto jego słowa: „To nie książka, dotknij jej, a dotkniesz człowieka, wychodzę z jej kart na spotkanie z tobą i śmierć nie zatrzyma mnie".

Nikt mi nie oponował, z czego nie należy jednak wnioskować, że całkowicie ze mną się zgadzali.

JAN KOPROWSKI

Niepiękne, a więc prawdziwe

Pewnego roku, w maju, zadzwonił telefon. Podniosłem słuchawkę, w której odezwał się tubalny głos: „Tu mówi kierownik świetlicy Takiataki. Załoga naszej fabryki ma życzenie spotkać się z wami i dlatego serdecznie was zapraszam na odczyt literacki".

Zaskoczony, milczałem chwilę a potem spytałem, czy koniecznie muszę być ja, czy nie dałoby się zwerbować kogo innego. „A nie, nie — odezwał się głos w słuchawce — załoga nasza pragnie zobaczyć was. Nasi ludzie czytają was i wciąż się o was dopytują. Więc jak, czy możemy ustalić termin?"

Wiedziałem, że są to wielkie zakłady, jedne z największych w Łodzi. Miło mi było słyszeć, że ludzie znają mnie z książek i artykułów i że zapałali chęcią podyskutowania ze mną na wieczorze autorskim. Któż by się w takiej sytuacji nie zgodził? Zgodziłem się, ustaliliśmy dzień i godzinę spotkania.

Umówionego dnia o umówionej porze stawiłem się na miejscu. Obezwładniała mnie trema, dająca zazwyczaj o sobie znać przed każdym występem publicznym. W tym wypadku lęk był tym większy, że właśnie na mnie czekano i spodziewano się, zapewne, jakichś nadzwyczajnych rzeczy. Już na schodach, wiodących do świetlicy na piętrze, podszedł do mnie kierownik świetlicy i zawołał kordialnie: „A, pan Koperski, witamy, witamy!" Po czym wprowadził mnie do sali, gdzie znajdowało się ze dwieście pustych krzeseł. „Niech pan tu chwileczkę poczeka — powiedział kierownik świetlicy — ja zaraz wrócę". Wrócił po kwadransie. Na jego twarzy malował się wyraz głębokiego smutku, prawie tragizmu. „Bardzo mi przykro — powiedział — tak się akurat złożyło, że mamy dziś trzy zebrania, a i dzień nie bardzo odpowiedni". Chciałem powiedzieć: „Przecież to wy ustaliliście ten dzień i z waszej inicjatywy tutaj przyszedłem". Ale nie powiedziałem nic i wróciłem do domu.

Po drodze myślałem sobie: 1. każdy dzień tygodnia jest nieodpowiedni. 2. nie trzeba wierzyć, gdy mówią, że jesteś znany i na ciebie czekają. 3. nieudolność kierowników świetlic jest przepotężna. 4. ponad wszystkim góruje chęć „odfajkowania" imprezy. 5. ludzie chcą „ubawu po pachy" a nie odczytów. itd. itp. Ale bywają też imprezy udane. W czasie jednej z takich udanych imprez pewien słuchacz poprosił mnie, abym coś zaśpiewał. Zaśpiewałem. Cienko.

HORACY SAFRIN

Na peryferiach

Skromna wioszczyna na obrzeżach Wielkiej Łodzi. Mroczną, nieprzytulna remiza strażacka. Audytorium w przeważającej mierze chłopskie. Eksperyment.

Tym razem nie „występuję" sam. Przysłano mi w sukurs kolegę-satyryka.

Jakiś miejscowy działacz prezentuje nas publiczności. Dwukrotnie zacina się przy nazwisku mego współtowarzysza, moje natomiast przeistacza gładko w sakralne „serafin".

Mamy przed sobą około sześćdziesięciu słuchaczy. W drzwiach tłoczy się kupa ludu. W pierwszych rzędach starowiny i młode matki z oseskami na rękach. Frekwencja dopisała.

Momentalnie spływa na mnie natchnienie. Odsuwam krzesło i wygłaszam sążnistą orację. Mówię o kontaktach literata z czytelnikami, o trudnościach, z jakimi walczy każdy współczesny twórca... Kończę stwierdzeniem, że jako pisarze jesteśmy pionierami na tym terenie.

Rzęsiste oklaski.

Potem czytamy nasze utwory. I w tym wypadku publiczność nie oszczędza rąk, rozlegają się nawet chichoty i wybuchy szczerego śmiechu.

Zachęceni powodzeniem rezerwujemy na koniec spotkania „rodzynek". Pragniemy nim skwitować okazywaną nam życzliwość.

Kolega — obdarzony nienaganną dykcją — odczytuje kapitalną humoreskę o akcie poświęcenia nowej sikawki strażackiej, która nie będzie już tłumiła płomieni w pałacach obszarników i fabrykantów, lecz gasiła pożary w naszych ludowo-demokratycznych instytucjach i zakładach...

Oczekiwania nasze zawiodły. Tokowi akcji humorystycznej nie towarzyszył ani jeden uśmiech na widowni. Ani jedna ręka nie podniosła się do oklasków.

Wreszcie grobową ciszę przerwał szorstki baryton. Wysoki, zażywny słuchacz dźwignął się z ławy i oświadczył:

— Pan pionier obraził Ochotniczą Straż Pożarną. A ja tam mam dwóch synów!

— Słusznie! Słusznie! — rozległ się pomruk na sali.

Postawa audytorium stawała się groźna. Na szczęście czekała na nas obok remizy służbowa „Warszawa". Czym rychlej opuściliśmy więc niedoszły „plac boju", gdzie po wstępnych sukcesach ponieśliśmy tak haniebną porażkę.

W danej chwili nie mogliśmy uczynić nic mądrzejszego. Inter arma silent vates.

Na zdjęciu: Ryszard Sobolewski (Arbienin) i Alicja Knast (Nina).

Fot. Fr. Myszkowski

STANISŁAW KASZYŃSKI

NA MARGINESIE „MASKARADY" w TEATRZE POWSZECHNYM

Niedawno zadał mi ktoś zaskakujące pytanie: czemu, proszę pana, teatry nie wystawiają teraz sztuk, które wytrącają z równowagi, po których obejrzeniu długo w noc nie można zasnąć. Sprawa jest, naturalnie, dość skomplikowana, niepodobna dać odpowiedzi rozstrzygającej wszelkie wątpliwości, nie wiedząc choćby, o jaki rodzaj przeżyć tutaj chodzi. I na czym winno polegać „mocne uderzenie", jakie sfery myśli i emocji muszą zostać zaatakowane, by nastąpił wstrząs i jego dalsze echa, dodatnie lub ujemne. Wyciągam z tego wniosek, że uczęszczają ciągle do teatru grupy widzów, oczekujących od sztuki silnych doznań. Nie tu miejsce, by rozwodzić się nad tym zjawiskiem. Z drugiej strony przyznamy, że nie łatwo czymś zadziwić współczesnego człowieka, poruszyć go głęboko, wstrząsnąć nim do trzewi. Nazbyt jest doświadczony, więc odporny na wszelkie niespodzianki i formalne ekstrawagancje, jeśli nawet coś go zaskoczy, zbulwersuje, szybko się z tego otrząśnie i — przyzwyczai. Ta zdolność akomodacji może niekiedy i przerażać. I analizując własne i cudze reakcje na sztukę, stwierdzimy często objawy znieczulenia czy obojętności, co wyklucza już z góry akty spontanicznego zaangażowania. Czy to cena, którą płacimy za dobrodziejstwa cywilizacji i wybryki historii? Kto wie, czy np. renesans „teatru okrucieństwa" Artauda (zwłaszcza w Anglii) nie dałoby się wytłumaczyć potrzebą spotęgowanego oddziaływania, drapieżniejszego nacisku, by z powrotem wprowadzić człowieka w stan normalności; okrucieństwo nowoczesnej sztuki służy w istocie rzeczy temu samemu, czemu służyła tragedia antyczna — oczyszczeniu moralnemu jednostki i zbiorowości. Mam pod ręką przykład doskonały, przykład „Tanga". Przez pierwsze dwa akty wszyscy uczestniczą beztrosko w wielkiej zgrywie, ale w trzecim akcie coś się zaczyna psuć, zagęszcza się atmosfera, a nikt się już nie śmieje, idąc do szatni. Czy nastąpił wstrząs? Z pewnością. Wydaje się jednak, że jest on bardziej prawdopodobny wówczas, w takim czasie i w takiej przestrzeni, które są naszym ludzkim czasem i naszą ludzką przestrzenią. Gdy Winnie w beckettowskich „Radosnych dniach" pogrąża się coraz bardziej w ziemię, rozumiemy boleśnie niesamowitość metafory, jednocześnie jednak czujemy, że dzieje się to jakby gdzieś poza nami, tylko na krańcach zuchwałej wyobraźni, w punkcie na tyle bezpiecznym, że stamtąd nie nadejdzie zagrożenie. Być może, że to dlatego, iż zredukowany człowiek w dramacie absurdalnym utracił jakby kontakt ze swym modelem i nie potrafi wywołać szoku, chociaż przeraża jako perspektywa, jako ewentualność naszego losu.

Oczywiście, nic z tych rzeczy nie mamy w „Maskaradzie". Zbyt błaha już w samej opowieści, by zatargać, sprowadzić dreszcz i równie naiwna, jakkolwiek płomienna i szlachetna, by podzielać lub przeciwstawiać się argumentom i decyzjom jej bohaterów. Co wcale nie przeszkadza, że „Maskarada" wędruje wciąż po scenach, znaczy to, że nie obumarła. Intryguje więc. Publiczność czy ludzi teatru? Na pewno obie strony, każda pociąga czymś innym. Bo jest w niej podniosły bunt przeciw konwenansom i szaleńcza dociekliwość w szukaniu prawdy, która dla Arbienina, tego rosyjskiego Otella, ma być szansą ocalenia i oczyszczenia poprzez szczęście wyłącznej miłości, a staje się w rezultacie klęską w zbrodni. Takie konfiguracje sytuacyjne, wynikające z na poły awanturniczo-kryminalnej intrygi, z efektownymi maskami balowymi, z malownicza scenicznie grupą gości i karciarzy, wreszcie z czarka trucizny, nieuchronnie kształtują klimat i esencję melodramatu. Był on i pozostał przecież ceniona pozycją w repertuarze, toteż obie strony winny odczuwać zadowolenie, tym większe, że „Maskaradę" uskrzydla podniosła poezja, wysubtelnia jakże pyszny wiersz. Tylko, że poezja miesza się stale z banalnością, a pomysły melodramatyczne dewaloryzują raz po raz szlachetne słowa i niekłamane gesty, zacierają granice między patosem a ckliwością. To sprawia, że nie wszystko wytrzymuje próbę naszej wrażliwości. Cierpliwości też. Trudno przeto przekazywać współcześnie podobne dzieła teatru romantycznego, jedyny, jak się zdaje, sposób to rekonstrukcja środkami teatru poetyckiego. Skoro tak, to należy przytłumić m. in. partie dramatu rodzinnego, zrezygnować z podkreślania satyryczno-społecznych momentów; inną drogą podążali reżyserzy-celebranci demaskatorskiej „Maskarady" i jak uczy historia wielu realizacji, ponosili z reguły klęskę. Teatr poetycki nie udźwignie takiego ciężaru. Całe niepokojące piękno zawiera się przede wszystkim w zgorzkniałych uwagach i ripostach, w namiętnym manifestowaniu osobistej godności i honoru z tym specyficznym melancholijnym zabarwieniem, tak właściwym Lermontowowi. Szczególnie o tym myślałem, rozkoszując się cudownym wierszem, znakomicie przyswojonym polszczyźnie przez Jerzego Zagórskiego. Myślałem, jakże obce, niestety, nam jest takie poczucie honoru, które tutaj przesądza o postępowaniu bohatera, koryguje życie, ciąży na międzyludzkich stosunkach. Wiedział o tym najlepiej sam Lermontow, także Puszkin, i co by się nie rzekło o anachroniczności takiej postawy i jej prowienienciji klasowej, fakt, że nie istnieje już taki kodyfikator, może osmętnić duszę. Zgorzknienie jest odmianą ironii, tak bliskiej romantykom. Czy jedynie im? Przez nią należałoby spojrzeć na dzieło, tonacja ironiczna dominuje tutaj i bezsprzecznie ułatwia współcześniejsze odczytanie.

Tadeusz Żuchniewski usiłował natomiast złączyć i pogodzić dwie przeciwstawne tendencje: pragnął uratować dramat poetycki, posługując się warsztatem realistycznym. Jak wiadomo, kompromisy są konieczne, czasem, niestety, nieocenione w życiu, lecz sztuka nie znosi takich aliansów, jest bezwzględniejsza, jest uczciwsza w swej naturze. Ślady owych rozterek ujawnili także aktorzy, za mało jeszcze mając treningów w tej dyscyplinie, nie potrafili sprostać wysokim wymaganiom. Mówiąc najogólniej, zdecydowanie „poprawniejsze" były panie. Wszyscy grali jednak za bardzo serio, ciężkawo, nieomal na jednym klawiszu, nie słyszało się ani szeptu, ani krzyku, nawet zamazano linię intrygi. A teatr, który przyzwyczaił nas do rozrzutności kostiumowo-dekoracyjnej, często uprzykrzonej, bo zbytecznej, sprawił tym razem niespodziankę: było zdawkowo, szaro, ciemno. Właśnie teraz, gdy nastręczyła się okazja do odtworzenia pysznej feerii. Sztafaż taki nie tylko by ułatwił wejście w styl i w aurę, zasłoniłby i niektóre niedostatki.

Z wrodzonej nieśmiałości nie narzucam się nigdy z radami. Odstąpię teraz wyjątkowo od tej zasady i poproszę: panowie, nie ustawiajcie niczego pod kątem prostym — ni mniej ni więcej tylko stół z pierwszej odsłony przyśnił mi się po przedstawieniu.

Państwowy Teatr Powszechny: Mikołaj Lermontow, „Maskarada", dramat w trzech aktach, przekład Jerzy Zagórski, reż. Tadeusz Żuchniewski, scenogr. Aleksander Jędrzejewski i Jadwiga Przeradzka, prem. 12. III. 1966.

W latach ostatnich zaobserwować możemy znaczny wzrost zainteresowań książką przy nieznacznej poprawie zaopatrzenia i sposobu dystrybucji. (Jak donoszą ze źródeł „dobrze poinformowanych", ma nastąpić znaczna poprawa; przeciętny nakład wzrośnie dwu- albo i trzykrotnie). Jednak, powiedzmy to od razu; wyniki różnych ankiet i sond socjologicznych (w tym także i badania prowadzone w Instytucie Książki i Czytelnictwa) potwierdzają powierzchowne i wyrywkowe obserwacje; w dalszym ciągu prym wiodą książki łatwe, dostępne przeciętnemu doświadczeniu, o prostej w zasadzie i w miarę sensacyjnej fabule i tradycyjnej psychologii — Kraszewski, Rodziewiczówna, Dumas, Sienkiewicz. Znacznie już mniej czyta się Orzeszkowa, Prusa, Balzaca, Stendhala, Dickensa, Hugo, Tołstoja, Żeromskiego. Fakt to bezsporny. Podstawą czytelnictwa jest literatura piękna. Przy czym jako całość literatura dawna cieszy się większą poczytnością, niż literatura współczesna. Jednakże widoczny jest wzrost zainteresowania literaturą współczesną i to literaturą trudną. Bo czym wytłumaczyć fakt błyskawicznego rozchodzenia się 10—12-tysięcznych nakładów książek Brezy, Brandysa, Andrzejewskiego, Faulknera, Tomasza Manna, Sartre'a, Witkacego, a nawet tych spod znaku antypowieści (moda?) — Butora, Sarraute, Robbe-Grilleta. Odnosi się to jednak do czytelnictwa pozabibliotecznego. Czytelnicy bibliotek, traktowani en bloc, jeśli czytają literaturę współczesną, to tylko komunikatywną; eksperymenty formalne nie cieszą się zainteresowaniem. Dużą poczytnością cieszy się tu natomiast literatura faktograficzna (pamiętniki, wspomnienia, reportaż).

Jest to wynik słabego przygotowania kadry bibliotecznej, jak i braków w zakresie rzeczowej informacji o książce w środowiskach pozawielkomiejskich. Zmiany jakościowe w czytelnictwie są przede wszystkim wynikiem zmian demograficznych i oświatowych. Nową literaturą interesuje się głównie młodzież; zjawisko to obserwuje się zarówno w mieście jak i na wsi (jest to na pewno rezultat także i uniformizującego gusty, działania środków masowej komunikacji: prasy, radia i telewizji).

Środki masowej komunikacji mogą jednak stać się groźną i poważną konkurencją książki i biblioteki, jeśli te ostatnie nie będą się rozwijać i wychodzić naprzeciw nowym potrzebom czytelniczym. Nie wszystko jest jednak zależne od bibliotek i bibliotekarzy, chociaż ich zadania wcale nie są takie bez znaczenia dla lepszego funkcjonowania tych placówek. Jako główne zadanie wysuwa się sprawa oczyszczenia księgozbiorów z pozycji zdezaktualizowanych, których ogromne ilości, zwłaszcza w księgozbiorach powiatowych, nie ułatwiają przecież pracy, blokując przy tym dużo cennego miejsca. Inne warunki zabezpieczające prawidłową pracę bibliotek i rozwój czytelnictwa zależne są od tzw. „czynników". Należą tu takie problemy, jak postulowana od dawna przez Instytut Książki i Czytelnictwa, konieczność ustalenia obowiązujących wskaźników (opartych na liczbie mieszkańców i stanie czytelnictwa) określających minimum kredytów na zakup nowości do bibliotek, czy uwzględnienie w planach wydawniczych i dystrybucji, potrzeb bibliotek i uznanie ich za pierwszoplanowe, zapewniając książkom wartościowym odpowiednio wysokie nakłady.

Zaczęliśmy od sprawy nakładów i znów do niej wróciliśmy — jest to nieuniknione przy jakichkolwiek rozważaniach na tematy czytelnicze w Polsce.

Bowiem nie istnieje u nas problem walki o czytelnika, rozumianej w sensie czysto komercjalnym, natomiast bardzo istotnym problemem jest odpowiednia polityka wydawnicza, polegająca na walce o zaspokojenie rozbudzonych zainteresowań czytelniczych, gdyż na wartościową, trudną, a nawet specjalistyczną pozycję z zakresu literatury pięknej i fachowej, czekają wielotysięczne rzesze czytelników.

JANUSZ TERMER

KIRK DOUGLAS NA TARGOWEJ

Fot. P. Kwiatkowski

Łódź wprawdzie jak wszem wobec wiadomo pełni obowiązki polskiego Hollywood, ale gwiazdy filmowe pojawiają się u nas jeszcze rzadziej niż komety na autentycznym firmamencie. Nic też dziwnego, że skoro wieść gminna (przecież nie prasa!) doniosła, że zjechać ma w nasze przydymione progi najprawdziwszy gwiazdor i to z najprawdziwszego Hollywood, poruszenie w naszym grodzie zrobiło się niemałe. Zwłaszcza w tak zwanych sferach filmowych i towarzyszących. Tym bardziej, że Kirk Douglas, bo o nim to właśnie mowa, bohater „Indiańskiego wojownika" i „Ostatniego kowboja" ma specjalne miejsce w sercu każdego kinomana. Zobaczyć na własne oczy bohatera Far-Westu nie byle to gratka. Wspólnymi tedy siłami, z młodzieńczym entuzjazmem wzniesiono w ogrodach Szkoły Filmowej na Targowej piękny saloon, przypominający wprawdzie trochę dworek w Żelazowej Woli ale prezentujący się ostatecznie całkiem okazale. Angielski napis w oknie (przekonsultowany ze studentami pochodzenia anglosaskiego) zachęcał do picia świeżego mleka, jak wiadomo, ulubionego napoju kowbojów i Polan. W ogóle wszystko było przepisowe i drogowskaz i bar i fryzjer Bon-Ton itd. Wypożyczono nawet rasowego rumaka. Kilku studentów z zapałem przebrało się za kowbojów, prezentując nie tyle długie nogi i regulaminowy chód, ile najlepsze chęci, a przecież to jest najważniejsze.

Nadszedł wreszcie ów wielki dzień. Dziedziniec szkoły, bramę i część ulicy Targowej oblekł żądny wielkich przeżyć tłum. Migały kowbojskie kapelusze, aparaty fotograficzne i kamery. Nad wszystkimi górował transparent z napisem „Welcome Kirk". Nawet deszcz nie zniechęcił nikogo. Nareszcie forpoczty z ulicy wrzasnęły — „jedzie!". Rzeczywiście, na horyzoncie pokazał się, niestety, nie dyliżans, ale czarny wytworny samochód. Zagrzmiały werble. Jeden z kowbojów otworzył zamkniętą przed chwilą bramę. Zagrały kamery filmowe tudzież gustownie ubrana orkiestra. Rozległy się nawet odgłosy wystrzałów (prawdopodobnie remanenty wielkanocnej kanonady). Kirk wyskoczył z samochodu jak z pędzącego dyliżansu. Szałowy — orzekły dziewczyny. Trudno zaprzeczyć. Uśmiechnął się promiennie. Chór studentów zaintonował „sto lat". Douglas myślac zapewne, że to jakaś starosłowiańska ballada podjął pieśń. Na progu szkoły powitano go chlebem i solą tudzież pocałunkami pięknej studentki Wydziału Aktorskiego. Trzeba przyznać, że znakomity aktor świetnie poczuł się w roli. Powitał tłumnie zebranych i zauważył, że kamer widać tu więcej niż w samym Hollywood. (Istotnie 6 kamer pracowało bezszelestnie, nie uwzględniając szumu, jaki robili stojący przy nich operatorzy). A następnie zapytał nie bez racji, dlaczego studenci nie są właściwie na zajęciach.

Potem odbyła się część oficjalna uroczystości. Pytano Douglasa o różne mniej lub bardziej poważne sprawy. Ważne jednak było nie tyle co odpowiadał ile jak, jak się poruszał, uśmiechał, gestykulował. Wszyscy mogli na własne oczy przekonać się co to znaczy być prawdziwym gwiazdorem. Kamery i aparaty fotograficzne pracowały niezmordowanie. Aktor był w swoim żywiole.

W końcu nastąpił kulminacyjny moment czyli tak zwane clou programu. Dostojny gość wraz z towarzyszącymi mu osobami przeszedł do ogrodu. Przed saloonem, jeden z kowbojów jeździł w kółko na wypożyczonym koniu z wyrazem tragicznej determinacji w oczach. Czego się nie robi dla sztuki. Mimo początkowych oporów Douglas dał się sprowokować. Siadł na konia lekko i zwinnie. Koń poczuł mistrza i zaczął się nawet zgrabnie poruszać. Potem Kirk demonstrował na żywych i niesłychanie z tego dumnych przykładach, jak to się walczy w prawdziwym westernie. A na koniec zdjął płaszczyk, stanął w drzwiach saloonu i zaczął strzelać. Trup słał się gęsto. Niektórzy kowboje, widać gorliwsi kinomani, padali całkiem prawidłowo i malowniczo. Ktoś śmielsza fantazja obdarzony próbował się nawet rzucić na Kirka, ktoś inny wskoczył mu z tyłu na konia. Orkiestra grała przez cały czas nie zrażona strzałami coltów nie ustraszonego Douglasa. Przed oczyma zachwyconych widzów i obiektywami owych sześciu kamer i niezliczonych aparatów fotograficznych (nawiasem mówiąc operatorzy i „fotografiści" deptali sobie po piętach i zasłaniali wzajem widok, z którego to powodu było dużo nie tyle radości ile krzyku), rozgrywał się najprawdziwszy western z udziałem autentycznego, niepokonanego kowboja, szeryfa i co kto chce. Sam Douglas był również zachwycony. Trudno mu się dziwić, bo wszystko to odbywało się bardzo zabawnie i sympatycznie. Jego zadowolenie osiągnęło szczyt, gdy opuszczając gmach szkoły, spotkał na swej drodze tłumek urodziwych dziewcząt, które dzierżyły transparent z napisem (po angielsku!) „Wróć do nas. Kochamy Cię" oraz bukieciki kwiatów pracowicie wyrwanych ze szkolnych klombów. Każda z dziewcząt osobiście ucałowała Douglasa czy też odwrotnie i wśród okrzyków, śpiewu (Sto lat!) i trzasku aparatów fotograficznych uroczy aktor odjechał pozostawiając nas w nieutulonym żalu i uczuciu podziwu dla swojej sztuki aktorskiej, inteligencji i dowcipu którymi potrafi błysnąć w każdym miejscu i o każdej dobie.

M.K.

SPEKTAKLE tygodnia

	FILM	
POLONIA		
	„Niagara", 33 seanse	14520 — 65%
WOLNOŚĆ		
	„Złoto Alaski", 23 seanse	4545 — 50%
	TEATR	
NOWY		
	„Anioł na dworcu", 1 spektakl	700 — 100%
	„Dożywocie", 1 spektakl	700 — 100%
	„Bliźniaki z Wenecji", 1 spektakl	700 — 100%
	„Trojanki", 1 spektakl	700 — 100%
	„Jeszcze raz o miłości", 3 spektakle	2100 — 100%
MAŁA SALA		
	„Anioł na dworcu", 3 spektakle	570 — 95%
	„Lekcja. Szaleństwo we dwoje", 2 spektakle	320 — 80%
POWSZECHNY		
	„My fair lady", 3 spektakle	1980 — 100%
	„Tango", 2 spektakle	1200 — 97%
JARACZA		
	„Kolumbowie rocznik 20", 3 spektakle	2025 — 100%
	„Kto się boi Virginii Woolf", 1 spektakl	675 — 100%
7.15		
	„Taka noc nie powtórzy się więcej", 4 spektakle	1260 — 100%
OPERETKA		
	„Sewastopolski walc", 5 spektakli	4985 — 89%
Teatr Ziemi Łódzkiej		
	„Dom kobiet", 3 spektakle	697 — 63%
	„Konrad Wallenrod", 6 spektakli	1522 — 80%
ESTRADA		
	Występ śpiewaczki Very Oelschloegel „Pieśni Brechta", 1 spektakl	200 — 20%

KRONIKA Antytelewizyjna

TEATR, REPORTAŻ, POEZJA

Pierwszeństwo nie tylko z uwagi na kolejność pozycji w programie ub. tygodnia należy się sztuce francuskiego pisarza Emanuela Roblesa „Montserrat" w przekładzie H. Rostworowskiego. Kostium historyczny nadaje problemom szczególną wyrazistość, chroni przed zagubieniem się w realiach, w sytuacjach o posmaku weryzmu, sens utworu staje się wielkim uogólnieniem. Nic więc dziwnego, że pisarze chętnie uciekają się do takich wypowiedzi. Wystarczy przypomnieć choćby dwa nasuwające się przykłady z naszej literatury: opowiadanie Jarosława Iwaszkiewicza „Bitwa na równinie Sedgemoor", powieść Jerzego Andrzejewskiego „Ciemności kryją ziemię", która zresztą została w swoim czasie przerobiona na sztukę, wystawiona w szczęśliwym okresie Teatru Nowego.

Słuchacz polski potraktuje problematykę sztuki jako odnośnik do spraw okupacyjnych „Ocalić nadzieję", „dać szansę nadziei", oto główny motyw postępowania bohatera, jego niełatwej decyzji. Montserrat ma być złamany w wyjątkowo wyrafinowany sposób, co chwila staje na nowo przed pytaniem, ile wolno poświęcić. Presja psychiczna jest tak silna i natrętna, że może doprowadzić do kapitulacji i rezygnacji. Sztuka porusza sprawy, które za każdym razem trzeba na nowo rozstrzygać. A że jest doskonale i pomysłowo skonstruowana, nie tylko problem angażuje widza, ale i sam jej przebieg.

Mimo iż tekst nie zawsze dobrze był opanowany pamięciowo, a więc i interpretacyjnie, aktorzy odnieśli duży sukces. Należy wymienić przede wszystkim Andrzeja Nowakowskiego w roli tytułowej, Stanisława Jasiukiewicza w roli pułkownika, sadysty o wielorakich umiejętnościach w tym zakresie. Co do postaci drugoplanowych, kreację stworzył Aleksander Dzwonkowski w roli Garncarza.

Zwracała uwagę kolejna „Giełda reporterów", prezentująca dziennikarskie reportaże filmowe. „Kino krótkich filmów" pokazało dwie perełki, retrospektywny film o cyrkowcach — dziwakach i maniakach, film polski o zerze — czytelną, nie wymagającą komentarzy parabolę.

Ze względu na Millennium - TV dostarcza ciekawych dyskusji, ocen i reportaży. Z tych ostatnich wymieniłbym reportaż „Nawratowie" z Katowic. Sam reportaż, jako wypowiedź filmowa, i komentatorzy niczym się nie wyróżnili. Frapowali nas bohaterscy bracia Nawratowie z Zabrza, ofiarni Polacy najsilniej związani ze skomplikowanymi i dramatycznymi dziejami Śląska, uczestnicy powstań, ludzie żywi i cieszący się zdrowiem, ludzie zwyczajni i bezpośredni, a od dawna przecież należący do historycznych dziejów walki o polskość piastowskiej ziemi.

Ze świętem pierwszomajowym znakomicie komunikowało się słuchowisko „Mazur kajdaniarski" (Studio 63).

Muzyka Sergiusza Prokofiewa doskonale towarzyszyła recytowaniu wierszy Anny Achmatowej. Annę Achmatową, poetkę miłości, pożegnał na łamach „Odgłosów" trafnym i zwięzłym epitafium Mieczysław M. Szargan. Ale Achmatowa to także poetka Petersburga o silnym zmyśle historycznym. (Mówię o zmyśle, gdyż chodzi o historiozofię wyrażoną środkami poetyckimi).

Nic dziwnego. Przyjaźniła się z Aleksandrem Błokiem, dziejami Rosji zafascynowanym, a w fascynacji tej było zarówno przerażenie jak i poczucie siły; był to rzadki w poezji rosyjskiej typ poety wieszczącego. Do niego też należy znamienny wiersz „Annie Achmatowej", z którego pozwolę sobie w nieudolnym przekładzie prozą przytoczyć ostatnią zwrotkę: „Nie jestem straszna i nie jestem prosta; nie jestem na tyle straszna, żeby po prostu zabijać; i nie jestem na tyle prosta, żeby nie wiedzieć jak straszne jest życie".

Tę drugą Achmatową zaprezentowała nam audycja.

Może nawet i niewiele brakowało, żeby „Znajoma z pociągu" stała się nieprzeciętną „Kobrą"; ale z różnych powodów do tego jednak nie doszło. Adwokaci-hobbyści (to niby morał z tej „Kobry") są kiepskimi adwokatami, dotkniętymi aberracją, ale dlaczego, tego nam autor nie zechciał wyjaśnić.

Pele-mele (czytaj: pel-mel) pod tytułem „Otwieramy studio" bardzo przypadło do gustu p. Maliniakowi.

Jan Huszczij

PS. Przygotowania radiofonizacyjne przed świętem nie powinny nękać mieszkańców miasta w najbardziej nieprzewidzianych momentach. To należy do kultury życia społecznego. Ku pamięci wycinam z gazety warszawskiej poniższy komunikacik:

W związku z uroczystościami 1-majowymi, Stołeczny Urząd Radiofonii Przewodowej przeprowadzać będzie próby techniczne kolumn dźwiękowych na trasie pochodu oraz miejsc zbiórek.

Prace trwać będą od 28 kwietnia do 30 kwietnia w godzinach od 15 do 18.

Za zakłócenie ciszy Kierownictwo Stołecznego Urzędu Radiofonii Przewodowej serdecznie przeprasza.

J. H.

O FILMACH DOBRZE i ŹLE

Zupełnie nieoczekiwanie film Sylwestra Checińskiego „KATASTROFA" zyskał nowy wymiar dzięki niedawnym wypadkom. Życie przynosi czasem niemiłe niespodzianki. Akcja filmu obraca się — jak wiadomo — wokół autentycznej katastrofy, jaka miała miejsce we Wrocławiu: przed kilkoma laty zawalił się tam nowo wybudowany wiadukt kolejowy. Wypadek ten opisał w książce pod tym samym tytułem Zbigniew Kubikowski — dziennikarz, krytyk literacki i prozaik, związany od lat ze środowiskiem wrocławskim. On też jest, wraz z reżyserem, współautorem scenariusza. Czas, który zabliźnia najbardziej dotkliwe rany i tym razem podziałał łagodząco: cała ta historia już dawno przestała wstrząsać świeżością, przeszła do historii, ludzie zdążyli o niej zapomnieć. Lecz oto tuż po premierze filmu we Wrocławiu miasto to staje się miejscem nowej katastrofy: wali się pięciopiętrowa kamienica grzebiąc w swych gruzach dziesięć ofiar. I nagle film zyskuje kontekst, o który nie sposób zapomnieć, który aktualizuje całą sprawę na nowo. Niezależnie od twórców „Katastrofa" posiada już podwójną wymowę. Życie dopisało swą drugą, tragiczną część do filmu.

Zawalenie się wiaduktu stanowi oś fabularną filmu. Nie tylko dlatego, że jest bezpośrednią przyczyną wszystkich wydarzeń, które oglądamy na ekranie. Również, a może nawet głównie z tego względu, że w życiu ukazanych bohaterów jest to fakt niesłychanej wagi, zmuszający ich do obrachunku z własną przeszłością oraz zajęcia stanowiska wobec otoczenia. Prawdziwych przyjaciół poznaje się w biedzie — mówi stare, mądre przysłowie. W obliczu nieszczęścia i zagrożenia własnego losu człowiek musi być sobą. Musi okazać swą naturę pozbawioną tak często przybieranej maski. Takiemu właśnie obnażeniu we wnętrznemu podlegają bohaterowie filmu, ci którzy odpowiedzialni są z racji swych stanowisk za stan i funkcjonowanie wiaduktu. Kto z nich okaże się winny? Główny projektant, naczelny inżynier, dyrektor, kierownik budowy, majster czy dostawca? Kto będzie skazany? Oglądamy ich wszystkich niczym przez szkło powiększające. Niewesołe to poznanie. Bo im bliżej końca filmu, tym bardziej jesteśmy pewni, że niezależnie od tego, jaki będzie wyrok, każdy z nich jest w jakiejś mierze współodpowiedzialny za to, co się stało. Ktoś pójdzie do więzienia, ale ci, którzy pozostaną na wolności zadowoleni, że tym razem udało się, nie mają całkiem czystego sumienia. Bo oprócz odpowiedzialności prawnej jest jeszcze inna — moralna, nie objęta żadnymi paragrafami, a przecież najważniejsza. To ona właśnie decyduje o tym jak wygląda nasze życie, jacy są otaczający nas ludzie. I wobec tej drugiej sprawiedliwości — moralnej, jakże często niestety jesteśmy przestępcami. Tym groźniejszymi, że żyjącymi w poczuciu absolutnego bezpieczeństwa — nikt nas nie ukarze. Film Checińskiego jest więc sądem nad bohaterami. Sądem według tych nie pisanych paragrafów, istniejących jednak w każdym społeczeństwie jako wynik kontaktów międzyludzkich, jako prawa warunkujące współżycie. I w tym nieoficjalnym powszechnym wymiarze sprawiedliwości sędziami jesteśmy my sami — wszyscy widzowie. To do nas apeluje film. To my musimy przeanalizować i ocenić ukazaną na ekranie atmosferę. Ocenić tym ostrzej — przez pamięć na niedawną katastrofę wrocławską. To, co przedstawia „Katastrofa" nie jest niestety fikcją. Ten problem istnieje, choć nie zawsze kończy się tak tragicznie. Niech że więc film Checińskiego będzie równocześnie ostrzeżeniem.

Film Heinza Sielmanna „GALAPAGOS" jest piękną i pouczającą lekcją przyrody, dana ze znawstwem przedmiotu i rzemiosła filmowego w półtoragodzinnym barwnym reportażu. Film dokumentalny dowiódł już niejednokrotnie, że pod względem artystycznym w niczym nie ustępuje fabularnemu. Wystarczy wspomnieć choćby wielką szkołę dokumentalizmu angielskiego nazwiska Flaherty'ego, Rothy, Griersona, Wrighta. Natomiast tematyka może być w erze atomu i jest częstokroć bardziej pasjonująca, niż najfantastyczniejsze opowieści. Takich emocji dostarcza nam opanowywanie nieznanego. Ale to nieznane to nie tylko świat kosmosu lub mikroczasteczek. Czasem może to być wnętrze żywego człowieka (maleńka kamera w przewodzie pokarmowym), kiedy indziej wyprawa w odległe zakątki geograficzne, wydzieranie tajemnic florze i faunie. „Galapagos" należy właśnie do tego ostatniego gatunku. Ukazuje faunę archipelagu Galapagos zwanego oficjalnie Colon. Ze względu na specyficzne położenie geograficzne (prawie całkowita izolacja) i ukształtowanie, zwierzęta natrafiły tu na warunki odmienne niż gdzie indziej, a przystosowując się do życia na archipelagu przeszły przez znamienne bardzo przeobrażenia. Na wyspach Galapagos przebywał przez pewien czas wielki Darwin. Tutejsza fauna dostarczyła mu cennych argumentów do uzasadnienia teorii ewolucji gatunków. Film Sielmanna idzie w gruncie rzeczy tym darwinowskim śladem. Odkrywa przed nami zupełnie nieznane krajobrazy i najdziwniejsze okazy zwierząt. Przez półtorej godziny mamy złudzenie, że uczestniczymy sami w wielkiej przyrodniczej wyprawie. Uczymy się życia — jego praw i przejawów. Sami więc czujemy się po trosze odkrywcami. Dlatego warto zobaczyć ów film — stokroć bardziej warto niż niejeden bzdurny i głupawy film fabularny.

MARIAREL

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

AUGUSTIN MEAULNES BĘDZIE MIAŁ TWARZ

■ „Nigdy Augustin Meaulnes nie będzie miał twarzy" — przez blisko pięćdziesiąt lat mówiła Isabelle Rivière, nie zezwalając filmowcom na ekranizację powieści napisanej przez jej brata Alain-Fourniera.

Alain-Fournier (właściwe nazwisko: Henri-Alban Fournier) urodził się w 1886 roku, jako syn wiejskiego nauczyciela. Dzieciństwo spędził wśród dzikiej i bujnej przyrody okolic Sologne. Od 1898 przebywa w Paryżu, a po odbyciu służby wojskowej zajmuje się dziennikarstwem, pisze wiersze i pierwszą, a właściwie jedyną w swym życiu powieść „Le grand Meaulnes" (w wydaniu polskim tytuł: „Mój przyjaciel Meaulnes"). Powieść drukowana jest najpierw w odcinkach w jednym z czasopism, a następnie w roku 1913 ukazuje się w wydaniu książkowym. Swego bohatera „wielkiego" Meaulnesa obdarzył autor swymi młodzieńczymi doświadczeniami, kazał mu przeżywać miłość do pięknej dziewczyny, z którą nie dane mu było się ożenić, wplótł w wątek osobistych przeżyć marzenia lat młodzieńczych. Powstała książka pełna uroku, świeżości i poetycznego wdzięku. Wybucha pierwsza wojna światowa. Autor powieści powołany na front ginie w dniu 22 września 1914 roku, w wieku lat dwudziestu ośmiu.

Została po nim prócz pierwszej powieści, druga, niedokończona jednak „Colombe Blanchet", zbiór drobnych opowiadań i wierszy, listy do rodziny, do jednego z przyjaciół i bardzo obfita korespondencja ze swym szwagrem, pisarzem J. Riviere'em.

„Le grand Meaulnes" jest dziełem które do dziś przetrwało próbę czasu i które wciąż budzi zainteresowanie czytelników. Przez lat pięć dziesiąt jakie upłynęły od pierwszego wydania powieści, sprzedano we Francji ponad osiem milionów egzemplarzy „Le grand Meaulnes". Książka tłumaczona była na trzydzieści dwa języki, a wydana ostatnio w serii „Livre de poche" w nakładzie 50 tysięcy egzemplarzy rozchwytana została w ciągu kilku zaledwie dni.

Nic więc dziwnego, że od wielu lat filmowcy zabiegali o pozwolenie przeniesienia „wielkiego" Meaulnesa na ekran. „Jamais Augustin Meaulnes n'aura de visage". „Nigdy Augustin Meaulnes nie będzie miał twarzy" — odpowiadała przez pół wieku osiemdziesięcioletnia już dziś Isabelle Rivière, wdowa po znanym pisarzu, a rodzona siostra Alain-Fourniera i spadkobierczyni jego praw autorskich. Bała się bowiem, że ekranizacja powieści zaszkodzi dziełu jej brata, zwulgaryzuje je i odejmie ten specyficzny urok jakim charakteryzuje się „Le grand Meaulnes".

Ale ostatniej jesieni zjawił się w małym miasteczku, gdzie mieszka Isabelle, młody reżyser Gabriel Albicocco. Nie miał on nadziei uzyskania zezwolenia na sfilmowanie powieści Alain-Fourniera. Po prostu, jako entuzjasta jego twórczości, chciał obejrzeć okolice, w której ulubiony pisarz spędził swe dzieciństwo. Odwiedził Isabelle Rivière. W czasie rozmowy Isabelle poprosiła go aby pokazał jej jeden ze swoich filmów. Albicocco przywiózł taśmę. Była to jego ekranizacja powieści Balzaca, Isabelle Rivière uważnie przyglądała się filmowi, a potem powiedziała do Albicocco: „Czemu nie miałby pan zaadaptować „Le grand Meaulnesa" dla filmu? Mam przekonanie, że pan i tylko pan mógłby to zrobić". Albicocco ze wzruszenia nie mógł się odezwać. To co nie udawało się przez pół wieku przeróżnym sławom reżyserskim, udało się Albicocco, realizatorowi prawie nieznanemu, który w swym dorobku filmowym ma zaledwie kilka krótkometrażówek i dwie powieściowe adaptacje ekranowe.

Augustin Meaulnes będzie miał swą twarz.

W środku Isabelle Riviere, z lewej młody aktor, który wystąpi w filmie jako Meaulnes, z prawej reżyser Gabriel Albicocco

GWIAZDA FILMOWA, WICEMISS ŚWIATA — GILA GOLAN, MARA GOLDENBURG, ZOSIA ZAWADZKA?

■ Nie pamięta ani daty swego urodzenia, ani rodziców, ani nazwiska. Wszystko co wie to tylko to, że pochodzi z Krakowa i że może mieć 21, 22 lub 23 lata. Kiedy była malutka znaleziono ją w Krakowie tuż po działaniach wojennych sama i zagubioną. Nikt nie wiedział gdzie są jej rodzice. Dziewczynka zaopiekowała się jakaś rodzina. Dziecko nazwano Zosia Zawadzka. Wkrótce opiekuńcza organizacja żydowska wzięła ją w swą opiekę. Dziewczynka zostaje wysłana do Francji, gdzie w środowisku dzieci żydowskich uczy się języka jidysz. Wyjeżdża następnie do Izraela jako Mara Goldenburg. Tu wychowuje się w kibucu do 18 roku życia, potem przenosi się do Tel-Awiwu, gdzie jest sekretarką. Pewnego razu zwraca uwagę na jej urodę pewien fotograf z Hollywood. Twierdzi, że jest piękna, choć ona sama zawsze sądziła że jest brzydką. Fotografia Mary Goldenburg ukazuje się w jednym z kobiecych czasopism. Redaktor pisma namawia ją by stanęła do konkursu piękności o tytuł miss Izraela. Aby w razie niepowodzenia nie narazić się na śmieszność, Mary Goldenburg przybiera pseudonim Gila Golan. Szczęście jej dopisuje. Zostaje najpiękniejszą dziewczyną Izraela. „Ku memu zdumieniu — mówi — zdobyłam tytuł miss, a co ważniejsze wkrótce zdobyłam w Londynie drugie miejsce w konkursie na miss piękności świata".

Po powrocie do Izraela Gila Golan zostaje znowu wysłana za granicę, tym razem do Stanów Zjednoczonych, by w charakterze modelki wziąć udział w pokazie mody izraelskiej. Zostaje w Ameryce przyjmując w 1963 roku tamtejsze obywatelstwo. Pracuje jako modelka. Jej zdjęcia docierają do Hollywood. Stanley Kramer ofiarowuje jej rolę w filmie „Ship of fools". Gra następnie w filmach: „Our man Flint" i „Three on a couch".

TYDZIEŃ CERVANTESA

■ W tym roku mija 350 lat od śmierci wielkiego pisarza Miguela Cervantesa (1547—1616).

Aby uczcić tę rocznicę radiostacje czterech państw, Belgii, Kanady, Szwajcarii i Francji nadadzą specjalne audycje w języku francuskim. Każda z rozgłośni zrealizuje na antenie operę buffo, której tematem będzie fragment dzieł Cervantesa.

SZKOŁA IM. ROMAIN ROLLANDA W MOSKWIE

■ Jedna ze szkół w Moskwie została nazwana imieniem Romain Rollanda. Nauka odbywa się w niej w języku francuskim. Uczęszcza tu 760 dzieci dwunastu narodowości, które opanowują język francuski i uczą się literatury francuskiej.

ZOFIA LOREN WRESZCIE MĘŻATKĄ

■ Niedawno temu niektóre z agencji prasowych i dzienników włoskich i francuskich podały wiadomość o ślubie w Paryżu Zofii Loren z Carlo Ponti. Podczas Wielkanocy widziano ich w barze w jednej z miejscowości pod Paryżem. Na zapytania i gratulacje składane przez dziennikarzy Carlo Ponti oświadczył kategorycznie, że pogłoski o jego ślubie z Zofią Loren są jedynie pogłoskami. Owszem — dodał Ponti — pewnego dnia poślubię ją, ale jeszcze nie teraz w Paryżu.

Wścibscy dziennikarze

Zofia Loren i Carlo Ponti

próbowali się czegoś dowiedzieć od mieszkającej we Włoszech matki Zofii Loren, ale i ona nie potwierdziła wiadomości o ślubie córki z producentem filmowym. Dopiero 20 kwietnia ukazało się w prasie francuskiej oficjalne oświadczenie burmistrza w Sèvres pod Paryżem, że 9 kwietnia o godz. 10 odbył się ślub Zofii Loren z Carlo Ponti. Równocześnie podano do wiadomości, że Carlo Ponti złożył na ręce burmistrza czek w wysokości 10.000 franków na cele społeczne.

Zofia Loren i Carlo Ponti zaręczeni byli od 17 lat, a obecny ich ślub poprzedziło wiele trudnych chwil, ogromna ilość komplikacji i przeszkód. Dopiero teraz 31-letnia gwiazda filmowa mogła wyjść za mąż za 53-letniego ukochanego. W roku 1949 Carlo Ponti poznał w Rzymie śliczną, piętnastoletnią dziewczynę Zofię Scicolonne. Wkrótce stała się ona przy jego pomocy słynną gwiazdą filmową Zofią Loren. Do dziś Zofia występowała w 34 filmach. Ale wtedy kiedy ją spotkał w Rzymie Zofia była biedną dziewczyną. Ponti zakochany w niej nie mógł się z nią ożenić, gdyż był żonaty. Zaraz po wojnie ożenił się bowiem z Giuliana, córką generała. Gdy poznał Zofię pozostawał ze swą żoną w separacji, ale rozwodu uzyskać nie mógł. Już w roku 1950 Carlo i Giulia na pragnęli załatwić prawnie rozejście się. Ale we Włoszech nie istnieją rozwody. W roku 1957 Carlo Ponti w Meksyku otrzymuje rozwód z żoną. Poślubia następnie Zofię per procuram. Zdawało się że nareszcie sprawa małżeństwa zakochanych doszła do szczęśliwego zakończenia. Tym czasem okazało się, że wynikneły jeszcze większe komplikacje. Małżeństwo zostało potraktowane w świetle prawa włoskiego jako bigamia za którą grozi więzienie. Carlo musiał więc anulować meksykański ślub.

W roku 1965 Carlo przyjmuje obywatelstwo francuskie. Jego żona również przyjmuje to obywatelstwo. Wtedy dopiero on i Giuliana mogą się rozwieść i to we Francji, jako francuscy obywatele. W dniu 23 grudnia 1965 roku uzyskują rozwód. Tego wieczoru gdy w Paryżu zapada wyrok sądu orzekającego rozwód, Ponti i Zofia Loren są w Nowym Jorku. Ponti oświadcza, że ożeni się w Paryżu z Zofią. Ich cichy ślub odbył się teraz. Zofia Loren uzyskawszy urlop od Charlie Chaplina przyjechała do Francji z Londynu, gdzie gra w nakręcanym filmie „Hrabianka z Hongkongu".

FILM „ZAKONNICA" W CANNES

■ Komisja wybierająca filmy francuskie dla przedstawienia ich na Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Cannes wytypowała jako oficjalnie reprezentujący Francję film pt. „Un Homme et une Femme" (Mężczyzna i kobieta), którego reżyserem jest Claude Lelouch oraz zaproponowała dwa inne filmy, a mianowicie: „La Guerre est finie" (Wojna się skończyła) w reżyserii Alain Resnaisa oraz „Zakonnicę" Jacques Rivette'a.

Jak wiadomo tego ostatniego filmu publiczność francuska nie może oglądać ze względu na zakaz cenzury.

Rada administracyjna Festiwalu odrzuciła jednak film „La Guerre est finie" ze względów politycznych, aby nie drażnić faszystowskiego rządu hiszpańskiego. Treścią filmu jest bowiem walka z reżimem Franco. W filmie grają m. in. Yves Montand i Ingrid Thulin. Scenariusz napisał hiszpański pisarz, pozostający na wychodźstwie, Jorge Semprun.

Decyzja rady administracyjnej festiwalu wywołała głębokie oburzenie francuskiej opinii publicznej. „Le Monde" nazywa decyzję pożałowania godną, stwierdzając że film „La Guerre est finie" zrealizowany przy współpracy francusko-szwedzkiej jest pod względem artystycznym wspaniały i przynosi zaszczyt kinematografii francuskiej. „l'Humanité" zaś nazywa niewyświetlanie filmu w Cannes nowym skandalem i nowym atakiem przeciw wolności twórczej.

POLONICA

SPOTKANIE Z POLSKĄ

Ukazał się nowy, drugi w tym roku numer miesięcznika „Begegnung mit Polen", które od lat wydaje w Düsseldorfie towarzystwo do kontaktów handlowych i kulturalnych z Polską. Numer w objętości ponad 60 stron druku zawiera artykuły polityczne oraz bogatą część kulturalną i literacką. M. in. zestawiono głosy krytyki o „Tangu" Mrożka, numer przynosi list z Warszawy oraz portret Erwina Axera, a z materiałów literackich znajdujemy wiersz Zdzisława Łączkowskiego, humoreskę Anatola Potemkowskiego i aforyzmy Juliana Tuwima. Numer uzupełniają listy czytelników i kronika polskich wydarzeń kulturalnych w dziedzinie literatury, filmu, plastyki i muzyki. Celem tego cennego periodyku jest popularyzacja Polski i jej osiągnięć w krajach niemieckiego obszaru językowego, a zwłaszcza w NRF.

POLONIA AMERYKAŃSKA O CAT-MACKIEWICZU

W jednym z marcowych numerów „Głosu Ludowego" z Detriot, znajdujemy informację o zgonie Cat-Mackiewicza. Ze względu na ciekawy sposób potraktowania zmarłego pisarza przytaczamy notatkę niemal w całości.

„W Warszawie zmarł na udar serca znany dziennikarz, głośny polemista, były premier „rządu na wygnaniu" — Stanisław Cat-Mackiewicz.

W 1956 podał się do dymisji i wyjechał z Londynu do Polski. Polska Ludowa stworzyła mu warsztat pracy pisarskiej i wydała szereg jego prac literackich. Niestety, nie umiał okazać wdzięczności. Pod pseudonimem zaczął poddawać zjadliwej i złośliwej krytyce na łamach paryskiej „Kultury" stosunki w Polsce. Nie była to krytyka konstruktywna, ale zaprawiona żółcią i nienawiścią... Całe życie Stanisława Cat-Mackiewicza, od początku do samego końca, było pełne burzliwych momentów, w których wyzwalała się jego zbyt wybujała indywidualność. Był zdolnym człowiekiem, miał wielkie ambicje, posiadał temperament czynu, szkoda, że te wszystkie wartości zbyt często oddawał w służbę złej sprawie".

(ei)

WYSTAWA POLSKIEJ FOTOGRAFII W MOSKWIE

W 16 numerze „Niedieli" czytamy o otwarciu w Domu Przyjaźni w Moskwie wystawy polskiej fotografii, którą zorganizował Związek Polskich Artystów Fotografików. 80 autorów wystawiło 160 fotografii. Tematyka jest rozległa: od pejzażu do fotoreportażu. W zbiorach znajduje się praca Janiny Gordzelewskiej „Macierzyństwo" za którą otrzymała w roku 1965 złoty medal na wystawie Europejskich Klubów Fotograficznych w NRF oraz fotografia Zbigniewa Staszyszyna „Przyjaźń" — nagrodzona brązowym medalem na wystawie Bifoto-4.

W salonie wystawowym znajdują się prace M. Gadzalskiego, Janusza Uklejewskiego i Hartwiga. Większość nazwisk to laureaci wystaw międzynarodowych w Berlinie, Bordeaux, Helsinkach, Budapeszcie i Bukareszcie.

„Wymiana wystaw pomiędzy radzieckimi i polskimi fotografikami — to początek dobrej tradycji, która niewątpliwie przyczyni się do dalszego rozwoju socjalistycznej sztuki fotograficznej" — pisze na zakończenie autor artykułu A. Graczow.

(ei)

Notatnik KULTURALNY

PONIEDZIAŁEK

I znów wypada odnotować działalność Towarzystwa Sztuk Pięknych: wystawa francuskiego artysty malarza Jamesa Pichette w Klubie MPiK.

Towarzystwo, zgodnie z zapowiedziami, poszerza lokalizację wystaw, a krąg eksponowanych artystów rośnie. Rodak Cézanne'a uprawia malarstwo abstrakcyjne; operuje mocnymi kolorami o niezbyt subtelnych zestawieniach. Płaskie kompozycje taszystowskie — raczej dekoracyjne. Choć ładne, nie poruszyło mnie to malarstwo i nie pobudziło do głębszych refleksji.

WTOREK

Bernard Sztajnert, „Grupa Pięciu". Wydawnictwo Poznańskie, stron 140, a każdy inny (z tych pięciu), a każdy jakiś znajomy.

Powieść ujęta w dramatyczną klamrę: „Grupa Pięciu Ginie", „Grupa Pięciu Zginęła" — oto pierwsze i ostatnie słowa powieści.

Nie jestem pewny czy zginęła. Niedawno widziałem jednego z nich. Cieszy się dobrym zdrowiem i wydał interesującą książkę pt. „Grupa Pięciu".

ŚRODA

Nie wiem, jak Wy, ale ja bardzo lubię oglądać wystawy. Oczywiście z nałogu zatrzymuję się najczęściej przed oknami księgarni. Zauważyłem, że najciekawsze, najbardziej pomysłowe wystawy urządza Księgarnia Artystyczno-Graficzna (Piotrkowska 149). Kto nie wierzy, niech pójdzie i zobaczy. Koniecznie. Oto, co znaczy posiadać talent czyli smykałkę artystyczną. Brawo!

CZWARTEK

Wojewódzki Komitet Festiwalu Kulturalnego Związków Zawodowych obradował 26. IV. w ŁDK.

Wiele cennych wniosków i propozycji padło podczas obrad.

Różnorakie formy i rodzaje imprez niewątpliwie posłużą tak władzom WKZZ jak i działaczom do analizy i oceny dorobku kulturalnego Związków Zawodowych. W podsumowaniu tysiąclecia kultury polskiej dorobek ten ma szczególne znaczenie.

PIĄTEK

Łódź-Górna górą! Duma dzielnicowa rozpiera pierś. Byłem na koncercie laureatów mojej dzielnicy i dałem wyraz zadowoleniu z poziomu, który recytatorzy zademonstrowali.

Eliminacje XII Ogólnopolskiego Konkursu Recytatorskiego w Łodzi i województwie dobiegły końca. W szranki stanęło 120 recytatorów, z których 6 będzie reprezentować nasze miasto; Łódzkie też górą, bowiem, jak informuje p. prof. Orlicz, do eliminacji środowiskowych przystąpiła tu największa liczba osób w kraju.

Tak wielkie umasowienie zamiłowania do słowa literackiego jest niewątpliwym sukcesem. Repertuar konkursu również, w porównaniu z ubiegłym rokiem, nie budzi większych zastrzeżeń. Jednakże umiłowanie słowa zobowiązuje do wprowadzenia w przyszłości nowych, wartościowych pozycji repertuarowych, co niewątpliwie wymaga większego wysiłku i samodzielności w wyborze tekstów. Dotychczasowy program w zasadzie nie wychodzi poza usankcjonowane rutyną ramy konwencji literackiej i recytatorskiej zubożając w ten sposób zarówno wykonawców jak i odbiorców o cały obszar wiedzy o literaturze nowszej i współczesnej. Ani Mach, ani Różewicz nie załatwią tej sprawy, jak, zdawałoby się, niektórzy sądzą.

Gra warta świeczki, tym bardziej że jest to już wielka gra.

SOBOTA

Amatorów sztuki recytatorskiej zapewne zainteresował recital wybitnej niemieckiej recytatorki Very Oelschlegel. Songi Brechta w jej interpretacji to duża klasa, wysoki poziom odtwórczości. Wyczucie frazy, nastroju i tonacji — głos i siła wyrazu.

A rekiny w oceanie
Mają zębów pełen pysk,
Mackie ma w kieszeni
majcher
Lecz kto widział jego
błysk?

(Lamentacje
o Mackie Majchrze)

To trzeba „wyśpiewać". Wyśpiewano nie raz i nie dwa, ale tak... to nie słyszałem.

NIEDZIELA

Ostatnio z ożywieniem dyskutowano u nas zagadnienie pornografii; usiłowano ją zdefiniować. Na próżno. Pornografii istota nieuchwytna. Mimo to policja brytyjska, nie uzbrojona w definicję, „uchwyciła" seans filmowy „na zakładzie", w miejscowości Erdington, gdzie filmy realizowano wyłącznie własnymi siłami. Uzdolnieni urzędnicy permanentnie kręcili nagą prawdę — za osoby dramatu mając sekretarki, a widzami bywali niestrudzeni robotnicy nocnej zmiany w warsztatach.

Nadal nie znam definicji pornografii, ale wiem już jak wygląda warsztat...

T. Żółoda

MARIA KORNATOWSKA

W RZYMSKIEJ SZKOLE FILMOWEJ

(Reportaż sentymentalny)

Na frontonie budynku widnieje monumentalny napis: Centro Sperimentale di Cinematografia. Wchodzę na dziedziniec i natychmiast zatrzymuje mnie kulturystycznie wyglądający dżentelmen pytając dokąd idę, dlaczego i po co. Po długich indagacjach, z wyraźną niechęcią wpuszcza mnie do środka. Oddycham z ulgą. Ale nie na długo.

W pięknym, z jednej strony całkowicie oszklonym korytarzu, otaczającym mały, wewnętrzny ogródek (styl starożytny!) następna przeszkoda. Tym razem dwaj równie kulturystycznie zapowiadający się dżentelmeni. Wyjaśniam, że chciałabym się zobaczyć z dyrektorem. Patrzą z niedowierzaniem. Na moje usilne nalegania uruchamiają jednak skomplikowany system dzwonkowo-świetlny i po jakimś czasie zjawia się we własnej osobie dyrektor Fioravanti, pan siwy, wytworny i bardzo sympatyczny. Niestety, jest bardzo zajęty i muszę przyjść jutro. Próbuję zagłębić się w środek gmachu, ale napotykam wyraźny opór ze strony kulturystycznych dżentelmenów. Wszyscy studenci są na lekcjach. Dzwonek będzie za godzinę — oświadczają wrogim chórem. Wychodzę lekko oszołomiona. U nas w Szkole Filmowej na Targowej jest zupełnie inaczej. Atmosfera lekkiego rozgardiaszu przystoi wszak artystycznej uczelni.

Nazajutrz rozmawiam z dyrektorem. Centro jest instytucją o charakterze państwowym. Istnieje od roku 1935 i funkcjonuje nadal w oparciu o stary statut faszystowski, co być może choć w części tłumaczy panujący w nim rygor. Centro to nie tylko Szkoła Filmowa, ale także ośrodek wydawniczy, ośrodek rozwijania i krzewienia nauki i kultury filmowej. Zacznijmy jednak od szkoły. Liczy sobie 7 wydziałów: reżyserski, operatorski, aktorski, organizacji produkcji, techniki dźwięku, scenografii i kostiumologii. Nauka na wszystkich wydziałach trwa dwa lata. W szkole studiuje około 80 studentów, w tym przeszło 1/3 cudzoziemców. Proporcje układają się zresztą dość zabawnie. Na pierwszym roku reżyserii jest czterech Włochów i dziewięciu cudzoziemców. Na pierwszym operatorskim studiuje nawet jeden nasz rodak, ale marzy o przyjeździe do Łodzi. Tu w Rzymie jest okropnie nudno — powiada. Zresztą nie pierwszy to rodak w dziejach Centro. Absolwentką rzymskiej uczelni jest między innymi urocza i bardzo inteligentna aktorka — Krystyna Stypułkowska, bohaterka „Niewinnych czarodziei" i „Dziewczyny z dobrego domu". Wszyscy w Centro wspominają ją z ogromną sympatią i niemal z rozrzewnieniem — ta śliczna Polka — i wypytują mnie o jej losy.

Zadaniem szkoły — mówi dyrektor Fioravanti — jest jak najlepsze przygotowanie zawodowe przyszłych filmowców i oswojenie ich z nowoczesną techniką. Staramy się stworzyć im warunki podobne do tych, jakie panują w normalnej produkcji, tak aby w pracy zawodowej nie napotykali przykrych niespodzianek. Staramy się dostarczyć im możliwie najnowocześniejszy, awangardowy sprzęt. I tu dyrektor jako przykład wymienia studio telewizyjne, które jeszcze do ubiegłego roku było najnowocześniejsze we Włoszech.

Idę więc zobaczyć ten cud techniki. Rzeczywiście wygląda imponująco. Trwają właśnie próby do widowiska telewizyjnego studenta II roku Calderone. Jest to swobodna adaptacja O'Neilla i nazywa się „Trochę późno". Reżyser biega po atelier i z sycylijskim temperamentem pokrzykuje na ekipę złożoną ze studentów. Wszyscy się denerwują (atmosfera jak w normalnej produkcji!). Spokoju nie traci tylko asystent reżysera i spec od miksazu Kolumbijczyk Javier. Tłumaczy mi właśnie działanie poszczególnych urządzeń. Jest nawet ampex do utrwalania szkolnych audycji.

Następnego dnia oglądamy bezpośrednio ze studia nadane „dzieło" Calderone'a. W małej salce przed telewizorem zgromadzili się wykładowcy i studenci. Widowisko bardzo interesujące. Znakomita jest dziewczyna, studentka drugiego roku aktorskiego, Biondi. Jeszcze godzinę temu, w barze wydawała mi się niepozorna i nieciekawa. Teraz na ekranie jest tylko ona — jej oczy, usta, włosy, piękny głos. Chwilami przypomina wielką Annę Magnani. Ma niemal ten sam, zdawałoby się, niepowtarzalny, tragiczny wyraz oczu. To naprawdę dużej klasy kreacja aktorska. Zresztą i w etiudach Centro, które tu nazywają się short, budzi podziw wysoki poziom gry młodych aktorów. Czy zasługa to wrodzonego temperamentu aktorskiego Włochów czy też metod nauczania?

Obserwuję wspólne zajęcia reżyserów i aktorów II roku, prowadzone przez znanego reżysera Nanni Loya, twórcę między innymi „Czterech dni Neapolu". Tematem zajęć jest zbliżenie twarzy aktora. Reżyserzy wymyślają i inscenizują małe scenki, aktorzy „odgrywają". Wokół nich krąży niewidzialna kamera. Chwilami odnoszę wrażenie, że aktorzy przewyższają inteligencją i inwencją reżyserów. Chwytają wszystko w lot. Nie widać tu żadnych kociaków w żeńskim lub w męskim wydaniu, ale twarze bardzo interesujące. Selekcja musi być zresztą surowa, skoro o mały włos nie wyrzucono Moniki Vitti, a Sophia Loren oblała egzamin wstępny. Tematy scenek krążą oczywiście wokół spraw sercowych (specyfika narodowa!). W pewnej chwili pada propozycja: spróbujmy pokazać twarz mężczyzny po akcie miłosnym (to już specyfika narodowa do kwadratu!). Po kolei chłopcy wychodzą za drzwi i wracają na wezwanie Loya. Patrzymy w napięciu. Zwłaszcza kobiety. Złośliwe komentarze. Do sali wpada spóźniona Biondi. Wchodzi kolejny chłopak. Loy pyta nieuprzedzoną i niezorientowaną dziewczynę — jak ci się wydaje, co on robił? Biondi patrzy uważnie w twarz swemu koledze. Spotkało go coś bardzo przyjemnego, chyba wraca z randki ze swoją dziewczyną — odpowiada po chwili. Wszyscy wybuchają śmiechem.

Dzwonek. Godzina pierwsza. Rozpoczyna się przerwa obiadowa, która trwa do pół do trzeciej (zajęcia w Centro kończą się o 16.30). Wszyscy biegną na obiad. Studenci tradycyjnie narzekają na stołówkę. Włosi przynajmniej jedzą bezpłatnie. Ale cudzoziemcy muszą płacić. Cudzoziemcy płacą też za studia, które dla tubylców są bezpłatne. A co gorsza nie mają prawa do kręcenia filmów. Asystują i pomagają swoim włoskim kolegom, a na drugim roku robią krótki, 300-metrowy film dyplomowy. Włosi za dobre wyniki w nauce mogą otrzymać stypendia i nagrody miesięczne, cudzoziemcy nie. Podobno nawet strajkowali. Ale na razie nic nie pomogło. Państwo włoskie nie ma pieniędzy. Cudzoziemcy psiocza więc ile wlezie, ale przyjeżdżają. Czy ściąga ich sława włoskiej kinematografii, czy magia Cinecitta, które leży vis à vis szkoły, czy prestiż Centro, które wychowało Germiego, Loya, Di Venanzo, do którego uczęszczali Maselli, Antonioni i inni.

Podczas przerwy obiadowej zbierają się więc w barze cudzoziemcy, których nie stać na zapłacenie obiadu i przy tradycyjnym capuccino narzekają na ten „okropny" kraj. Rzecz znamienna, że wszyscy cudzoziemcy wyrzekają strasz liwie na Włochy, ale siedzą tam możliwie najdłużej, a kiedy już muszą wyjechać, marzą o jak najszybszym powrocie. Miłość do tego kraju jest miłością trudną, ale pełną namiętności.

Sądząc z rozmów „zagranicznicy" stanowią element bardzo interesujący, bardzo dojrzały. Studia w Rzymie kosztują wiele poświęcenia i samozaparcia, o ile oczywiście, nie są bogaci. Niektórzy z nich, jak choćby Kolumbijczyk Javier zjechali kawał świata i imali się wielu zawodów. Byli raz na wozie a raz pod wozem. Teraz grają w fotopowieściach, piszą scenariusze do comiksów, pracują jako tłumacze i przewodnicy w agencjach turystycznych. Marzą o sławie. Holender, Szwajcar, Turek, Kolumbijczycy chcą przyczynić się do stworzenia wielkich kinematografii narodowych w swoich krajach. Buntują się przeciwko uznanym mistrzom, przed którymi u nas pada się na kolana. Chcą powiedzieć coś nowego, ale jeszcze dobrze nie wiedzą co i jak. Szukają. Dyskutują. Tu, we Włoszech, w ojczyźnie Felliniego, Antonioniego, Pasoliniego trzeba być bardzo silną indywidualnością, żeby zwrócić na siebie uwagę, żeby powiedzieć jakieś nowe słowo. Niektórzy z nich z pewnością zostaną wciągnięci przez komercjalną machinę przemysłową. Inni będą walczyć. Tak jak Marco Bellocchio, absolwent Centro, który za wspólne — swoje i przyjaciela Enzo Doria, też absolwenta Centro — pieniądze, zrealizował głośny dziś film „Pięści w kieszeni". Film otrzymał wiele nagród międzynarodowych i krajowych. Wszyscy go chwalą i nikt go nie chce oglądać. Bellocchio z Doria kręcą następny film — ponoć rewelacyjny. Ale jak długo będą mógł i chciał walczyć — mówi uczciwie Doria. Bo tu mimo wszystko rządzi pieniądz, a nie sztuka. A jednak ciągle znajdują się młodzi ludzie, którym nie żal wyrzucać pieniędzy na sztukę, którzy rezygnują z wielu przyjemności i rozkoszy życiowych po to, by móc zrealizować jeszcze jedno dzieło, którego potem nikt, prawdopodobnie, nie będzie chciał oglądać.

Spotkanie z Germim, twórcą „Rozwodu po włosku" i „Uwiedzionej i porzuconej". Dyskusja nad jego najnowszym filmem „Panie i panowie". Germi — aktor wyborny (widzieliśmy go przecież w kilku filmach), błyszczy dowcipem i inteligencją. Ripostuje z wdziękiem i precyzją każde podchwytliwe pytanie. Cwany lis — mówią studenci. Wstają po kolei „gwiazdy" drugiego roku reżyserii — Calderone, Greco, Bracci. Zarzucają Germiemu, że zrobił film pod publiczkę, że poszedł na artystyczny kompromis, że chce robić kasę. Zarzuty są coraz ostrzejsze, poparte przykładami. Germi zręcznie odparowuje ciosy. Zaczyna się dyskusja na temat sensu i celu robienia filmów, na temat wartości sztuki filmowej. Nie uznaję filmów niekasowych — mówi Germi. Są one dla mnie niemoralne. Film musi podobać się publiczności, i to zaraz, a nie po latach. Moim obowiązkiem jest przyciąganie publiczności do kina. To exposé, jak można sobie wyobrazić, nikogo nie zachwyciło.

I znów dzwonek. Studenci idą na „lekcje". Każdy rok ma swoją własną salę wykładową i ćwiczeniową. Oprócz tego są jeszcze pracownie specjalistyczne, montażownia, pięknie wyposażone garderoby indywidualne dla studentów-aktorów, grających w etiudach lub widowiskach telewizyjnych. Szkoła posiada trzy duże hale zdjęciowe, z których jedna, rzeczywiście ogromna, często bywa wypożyczana dla normalnej produkcji. Tu powstały niektóre sceny „Kleopatry" i „Lamparta". Na dole mieści się sala projekcyjna. Profesor Montesanti ma tam właśnie wykład z historii filmu. Montesanti jest jednocześnie dyrektorem Kinoteki Narodowej, której ogniotrwały skarbiec mieści się w podwórku Centro. Kinoteka posiada około 6 tysięcy filmów. Profesor Montesanti kocha kino. Projekcje starych filmów celebrowane są ze czcią i nabożeństwem. Niechno tylko zabraknie jakiegoś metra taśmy, albo niech kinomechanik coś tam poprzestawia. Zaczyna się istny sąd ostateczny, choć z wielkim przeprowadzony taktem. Dzięki zbiorom Kinoteki studenci mogą poznać mnóstwo interesujących dzieł filmowych.

Jest jeszcze biblioteka licząca około 12 tysięcy woluminów. Nie brak nawet książek polskich — widzę na półce Historię Sztuki Filmowej J. Toeplitza. Niektóre zajęcia z uwagi na możność bezpośredniego korzystania z książek i prasy, odbywają się w bibliotece. Właśnie tam, specjalnie na moją cześć, mówi o neorealizmie, bardzo popularny wśród studentów, wybitny krytyk G. C. Castello — chodząca krynica wszelakiej wiedzy i mądrości filmowej. Pod koniec wykładu i ja muszę przemówić. Pytają mnie o film polski, o Kawalerowicza, Wajdę, Polańskiego, Skolimowskiego. Pytają o łódzką szkołę. Chcieliby ją zobaczyć, tyle o niej słyszeli. Chcieliby przyjechać do Polski. Zapraszam wszystkich z iście słowiańską gościnnością. Obok Castello, ogromną popularnością cieszy się w Centro Zavattini, który zresztą tylko chwilowo zastępuje chorego wykładowcę od scenariopisarstwa, Prosperi. Zavattini uwielbia młodzież. Jest pełen inwencji. Sypie pomysłami i projektami. Chce zawsze robić coś nowego. A to, jak wiadomo, można jeszcze tylko z tymi młodymi. Chodzą do niego, radzą się, pytają. Pomaga im. Otacza opieką i sympatią. Zresztą nie sposób ich nie lubić. Kiedy opuszczałam po raz ostatni mury Centro Sperimentale było mi smutno. Zostawiałam tam przyjaciół. Pamiętaj o nas i pisz o nas dobrze — powiedzieli mi na pożegnanie.

Lewym okiem

JAK WŁADAĆ JĘZYKIEM

Bardzo śmieszne wrażenie robią dwie dziewięcioletnie osoby w tramwaju, rozmawiając głośno takim na przykład stylem: — „Wiesz, tak się zdenerwowałam, że aż mi ręce latały. Wyobraź sobie, ukąsił mnie w nogę komar. — Chciałam powiedzieć pani, ale jakoś się krępuję, słowo daję..."

Mówimy o takich dzieciach, że są przemądrzałe, a ponieważ dzieci małpują swoje najbliższe otoczenie, zwłaszcza domowe, więc pewnie i to otoczenie też nadużywa pretensjonalnych zwrotów, niewspółmiernych z całym głoszonym tekstem, więc śmiesznych.

Chodzi właśnie o tę współmierność, albo mądrzej: adekwatność. Ileż to razy wykpiwano oschły, nadęty a zawiły język biurokratów.

Biurokraci mają rzeczywiście wyraźną predylekcję do zastępowania słów prostych — zwrotami trudnymi, brzmiącymi obco, najlepiej kończącymi się na — cja, uogólniającymi sens pojęcia możliwie najszerzej i stwarzającymi pozór wyższego wtajemniczenia. Jednak i w tym zawodzie jest mnóstwo zwrotów, których pominąć nie sposób. List urzędowy musi zawierać takie zagrania jak: nawiązując do... w związku z powyższym... niniejszym akceptujemy... w przedmiotowej sprawie. Taki list musi nawiązywać, powoływać się i urgować, co nie przeszkadza, że na przykład oświadczyny miłosne zaczęte takim samym zwrotem, są już łatwym, dobrze zresztą znanym dowcipem.

O cybernetyce nie da się mówić językiem książki kuchennej, o wydarzeniach rodzinnych — stylem komunikatu sportowego. Inaczej rozmawiamy z mleczarzem, inaczej z kolegą po fachu, inaczej z dziewczyną, którą na próżno chcielibyśmy oczarować. Zwyczajny zdrowy rozsądek, wyrobienie, uprzejmość, instynkt wreszcie — podpowiadają nam wybór właściwej formy wyrażania myśli.

Podejmowane niekiedy próby, oparte na przypuszczeniu, że przemieszanie właściwych, adekwatnych form informacji zbliży podmioty do siebie, zbliży je do przedmiotu — dają zazwyczaj żałosne wyniki. W dwudziestych latach w Niemczech wydano dzieło, mające uświadomić seksualnie proletariat. Najdrastyczniejsze sprawy i rzeczy nazywano w dziele tak, jak to zwykli czynić niezbyt subtelni w słowie robotnicy wielkomiejskich przedmieść, chłopaki z „terminu", służące i bezrobotni. Żeby wszystko było zrozumiałe i jasne. Wyszedł z tego potworek, którego dorośli, prości ludzie wstydzili się wziąć do ręki, a młodzież miała niekiedy ubaw i — oczywiście — żadnej korzyści.

Teraz znów czytam w „Zwierciadle" wzmiankę o tym, że w pewnej szkole paryskiej pedagodzy w drodze eksperymentu realizują zasadę traktowania dzieci absolutnie jak dorosłych; żeby — jak to się teraz powszechnie podkreśla — trafić do wrażliwej duszy dziecka, żeby się zbliżyć, zrozumieć, być zrozumianym i uznanym za równego swojaka. Żeby nie upupiać.

Wyobrażacie sobie taką szkołę? Wchodzi pan do klasy i powiada: — Panie Januszku pan będzie łaskaw nie dłubać w nosie. Jaką pani ma dzisiaj ładną bluzeczkę, panno Agatko! Gdzie ją pani kupiła? Co chciałem powiedzieć, aha, podobno państwo byliście na filmie „Przygody w kropli wody"? Nudne jak cholera, nie?

Dzieci czują się momentalnie dorosłe i bawią się znacznie lepiej niż w kinie na owym filmie. Pan tymczasem notuje reakcje, rysuje wykresy i rozmyśla nad dalszymi eksperymentami. Może na przykład — dla zachowania równowagi — przemawiać na konferencjach tak, jak dawniej mówiło się do dzieci? — Siadajcie grzecznie, tak, pani tylko napije się wody i opowie wam o tym, co przyjęto do planu z poślizgiem niezrealizowanych zaszłości okresu bilansowego... ój, pardon, to jeszcze inna parafia.

Tak, wydaje mi się, że takie niedostrzeganie specyficzności każdego środowiska i każdego kręgu tematycznego nie tylko nikomu na dobre nie wyjdzie, ale wręcz utrudni porozumienie się ludzi. Dajmy lepiej spokój stylistycznej gimnastyce i uważajmy nadal niewłaściwe słowo w niewłaściwym miejscu za okazję do zdrowego, bezinteresownego śmiechu.

CWIEK

Redaguje zespół: — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie 4 zł; kwartalnie 12 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem: na „Odgłosy". Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17. Zam. 1250. IV.66. E-2